



KAROL JÓZEF
STRYJSKI

Trzy taktyki trzeciej odnowy

(Część I)

Problem, do którego w niniejszym artykule sięgam, nie jest w sytuacji pewnego „zalewu” polemik nad przeszłością i teraźniejszością naszego kraju najczęściej podejmowanym tematem. Wobec powszechnej dość zgodności, co do tego, że jeśli odnowie — i to poważnej, gruntownej — nie ulegnie partia, to w tym kraju nic, albo niewiele się zmieni. Fakt ten może dziwić. A jednak...

Osiągnęliśmy, na to przynajmniej wygląda, dno kryzysu gospodarczego. Równocześnie mocno zachwiała się fasada z szyldem „jedność ideowo-moralna narodu”. A było to przecież sztandarowe hasło propagandy drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Uświadomiliśmy sobie — po raz wtóry znów — faktyczny pluralizm ideowy, a przede wszystkim światopoglądowy narodu. Nie jest to nie z rodzaju symbolicznego rozdarcia. Jest to po prostu konstatacja faktów, których nie można dalej ignorować. Marksizm w Polsce nie jest powszechnie „wyznawana” ideologia, ani tym bardziej równie powszechnie „panującym” światopoglądem. Co wcale jednak nie przeszkadza, iż socjalizm jest ustrojem w swoich zasadach akceptowanym przez znakomitą większość społeczeństwa polskiego.

Dalszy ciąg na str. 4-5



Foto: R. Łucyszyn

Dalszy ciąg na str. 3

„STOP ROZKŁADOWI POLSKIEJ GOSPODARKI” — z konferencyjnej teczki w pała mi arkusik papieru z takim oto hasłem, podpisanym przez NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Łódzkiego. W znakomicie zorganizowanym biurze prasowym dostaje jeszcze kartę akredytacyjną. Uprzejma pani pyta, kogo żyzyłabym sobie spotkać na konferencji prasowej. Dr Marek Belka oferuje pomoc w kontaktach z naukowcami, pan Ryszard Batory zapoznaje z listą gości.

Tymczasem w auli Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego rabi się ciasno. Błyskają czerwienią i bielą plakietki z napisem „Solidarność”. Katowice, Koźle Sieradz — można odczytać z przypiętych do marynarek kartek.

Spora łódzian; głównie z Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego. Jest rektor uczelni i pracownicy Akademii Nauk. Wśród naukowców wybitni polscy ekonomiści. Na wprost prezydium zasiadli przedstawiciele MKZ „Ziemi Łódzkiej, z lewej strony: „członkowie komisji do spraw raportu”. Poniżej:

MAŁGORZATA GOLICKA

STAN UMYSŁÓW

„Rząd dla dziennikarzy”, ale „Dziennikarze nie dla rządu” dopisano zaraz ręcznie na białym kartonie i tak już zostało do końca konferencji. W jednym z rzędów szczupły pan w ołmnozielonym garniturze, który na liście gości wpisał: Langin Matras, Komitet Łódzki PZPR.

Ktoś z organizatorów sprowadza powoli po schodach lekko pochylonego starszego pana, na widok którego wszyscy wstają i długo biją brawa.

— Kto to? — pyta profesor Beksiaka jakas bardzo młoda osoba.

Kto to? Profesor Lipiński — słyszy w odpowiedzi.

Profesor Edward Lipiński stała tymczasem w prezydium i pozostaje tam już do końca dnia. Jeszcze tylko powita gości przewodniczący MKZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej Andrzej Słowik, jeszcze docent Wiesław Caban przypominając zamierzenia organizatorów i można przystąpić do roboczej części konferencji.

CEL jest jasny i prosty. Reforma gospodarki zaprzęta dziś umysły fachowców i rozpala dyskusje obywateli. Sprawy gospodarki i administracji przepłatają się bowiem ze sprawami polityki i strategii, a skutki „wielkich decyzji” będą miały swój bezpośredni wpływ na poziom życia każdego z nas.

Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji członkowie NSZZ „Solidarność” odczuwają pilnie potrzebę wypracowania stanowiska związku wobec reformy gospodarki. Chodzi tu nie tyle o własną „Solidarnościową” wersję programu, ale o poglądy i opinie wobec proponowanych kierunków zmian. Pomysł wy-

Dalszy ciąg na str. 5

Z początku wszystko wydawało się proste. Zapowiadał się konflikt według ograniczonego schematu. Jeszcze jeden przykład z pola odwiecznych walk podjazdowych między bezduszną administracją i bezbronną kulturą. Tradycja takich walk liczy tyle lat ile Polska Ludowa.

Zadzwoń! telefon. Kulturze znów dzieje się krzywdy! Jak w bajce „Zły naczelnik” chce do biblioteki wprowadzić gwałtem biuro geodety. „Dobry dyrektor” gminnej placówki kulturalnej miota się w bezsilności...

W poddębickiej bibliotece — wietrowym, wolno stojącym budynku ze słonecznym sgraffito na ścianie — wita mnie dyrektor Kazimierz Józwiak. Jest to starszy już pan, przygnębiony i jakby trochę zaleknioty zarazem.

— Zdenerwowałem się — oznajmia na wstępie — Napisali w „Dzienniku”, że naczelnik groził mi zwolnieniem z pracy, jeśli nie oddam kluczy. Ale żaden redaktor ze mną nie rozmawiał. Nie mogłem więc nic takiego powiedzieć. A wygląda na to, że zainspirowałem tę notatkę.

Dyrektor wyraźnie obawia się za ostrzeżenia konfliktu. Sprawy wrażenie, jakby bieg wypadków nieprzewidywalnie zaskoczył go. Jakby znalazł się w środku sprawy wbrew swej woli.

— Cała rzecz dotyczy mojej biblioteki, ale ja nie mam w tym udziału. Mówię panu: jestem między młotem a kowadłem. Oni tam „na górze” rozgrywają to między sobą, a ja tak czy owak będę musiał dalej współpracować na co dzień z naczelnikiem...

O jakiej rozgrywce mówi dyrektor? Kto — oprócz naczelnika — jest w niej główną postacią? Dlaczego dyrektor biblioteki — zdawałoby się, najbardziej zainteresowany — stara się za wszelką cenę zdystansować do całej tej sprawy? Wszystko to wyjaśni się później, gdy z rozmów z

TOMASZ SOLDENHOFF

Bajka o dobrym dyrektorze i złym naczelniku

(BEZ HAPPY-ENDU)

uczestnikami „gwałtu na kulturze” powstanie jakiś obraz. Czy wystarczyą przejrzysty?

Zacznijmy od faktów. Choć Poddębice w 1956 roku stały się siedzibą powiatu (odzyskując rangę sprzed wojny, w której straciły aż połowę mieszkańców), przez niemal dwadzieścia lat pozbawione były po rządnej biblioteki.

Zastępował ją barak, a ściślej — w nim o 45 metrach kwadratowych, który służył jednocześnie instruktorom jako biuro i magazyn. Trzeba było długich starań ówczesnych władz kulturalnych województwa łódzkiego, aby w końcu — w 1974 roku — kosztem miliona trzystu tysięcy złotych stanął nowy gmach przeznaczony w całości dla biblioteki. Była to ostatnia inwestycja z Funduszu Odbudowy Stolicy.

Do momentu reformy biblioteka pełniła funkcję miejskiej i powiatowej. Szybko też potwierdziła swą przydatność, windując wskaźnik czytelniczości w mieście i gminie powyżej wojewódzkiej średniej. W pozy-

Na pytanie: co interesuje ludzi? — najprościej byłoby odpowiedzieć: — wszystko. Ale z takiej odpowiedzi nic nie wynika. W różnych bowiem środowiskach, w różnych grupach zawodowych, ludzie interesuje jednak coś innego. Jedni na przykład chcą wiedzieć, kto i ile zarabia? Inni szukają odpowiedzi na pytania bardziej zasadnicze, a jeszcze inni ciekawi są, jaki los spotka tych, którzy coś w przeszłości nabrali lub za bardzo dbali tylko o swój interes. Kiedy jednak ludzie z różnych środowisk i grup zawodowych spotkają się w jednym miejscu i to w celu poszukania odpowiedzi na nurtujące ich pytania, wtedy obraz tego, co interesuje ludzi czyni się większy i szerszy. Swoista panorama ludzkich zainteresowań.

Z czymś takim spotkałam się 18 grudnia 1980 roku w sali fabryki transformatorów „Elita” na spotkaniu członków zakładowych komitetów NSZZ „Solidarność” z I sekretarzem KŁ PZPR — TADEUSZEM CZECHOWICZEM i prezydentem miasta Łodzi — JÓZEFEM NIEWIADOMSKIM. Był to swoisty wieczór pytań i odpowiedzi. Dyskusji nie przewidywano. W wielu pytaniach zawarte jednak były już sady, opinie, a nawet stormulowania polemiczne jakby pytający znał lub przewidywał odpowiedź pytanego. Był to ciekawy wieczór. Sprawnie prowadzony przez MARKA BURSIEGO, który potrafił utrzymać ludzi siedzących na sali, pełnych emocji, chęci do polemiki i dyskusji, w niezbednej dyscyplinie, grzecznie, acz stanowczo, ucinając wszelkie próby polemiki. A było ich kilka. Nie o polemikę czy dyskusję tego wieczoru bowiem chodziło, ale o wzajemne poznanie stanowisk, poglądów, opinii. Pytający wyrażali swoje zainteresowania. Odpowiadający — opinie i stanowiska. A ponieważ i Tadeusz Czechowicz i Józef Niewiadomski zapewnili, że chętnie ponownie spotkają się z przedstawicielami fabrycznych komitetów NSZZ „Solidarność”, więc takie poznanie poglądów może w przyszłości przyczynić się do ciekawej dyskusji o sprawach nas wszystkich interesujących.

tywnych działaniach nie przeszkadzał fakt, że wkrótce po otwarciu do pomieszczeń na parterze wprowadzono poradnię Instruktorstwa metodycznego, późniejszą filię WDK w Sieradzu, przekształconą niedawno w Poddębicki Dom Kultury. Ponadto zajęcia dwa pokoje z kuchnią i łazienką, przeznaczone pierwotnie dla dyrektora biblioteki. Ale ten zrezygnował z mieszkania w bibliotece wybierając bloki. Teraz mówi:

— Nie protestowaliśmy, bo chodziło przecież o bliską nam problematykę instytucji, która w dodatku też pracowała w fatalnych warunkach. Później zakładano, że poradnia opuści gmach biblioteki z chwilą wyremontowania palacu, przeznaczonego na dom kultury.

Ale remont — jak to bywa — przeciągnął się. Tymczasem w jedynym magazynie biblioteki zaczęto zsować regały na odległość mniejszą od przepisowego metra i kłaść książki w podwójnych rzędach. Czasopisma le-

Dalszy ciąg na str. 7

W POŁOWIE GRUDNIA odbyło się Walne Zebranie Stowarzyszenia „Dom Srodowisk Twórczych” obecnie Stowarzyszenie Twórców Kultury, w którym wybrano nowe władze STK. Prezesem został — Konrad Freidlich, wiceprezesami — Witold Jawis i Józef Robakowski, sekretarzem — dr Janusz Zagrodzki, skarbnikiem — Andrzej Czerny. Ponadto w skład Zarządu wchodzi: Andrzej Jędrzejewski, Wanda Karczewska, Antoni Mikołajczyk, Jerzy Neugebauer, Andrzej Paruzel, Tadeusz Forada i Antoni Szram.

TEATR WIELKI od 1 stycznia działa pod kierownictwem nowego dyrektora naczelnego — Janusza Cegielly — znanego organizatora życia muzycznego w kraju, publicyści i autora wielu widowisk telewizyjnych i popularnych muzykę.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ należy odnotować powrót do pierwotnej nazwy najstarszej łódzkiej gazety codziennej. Od 1 stycznia 1981 roku czytamy i kupujemy nie „Dziennik Popularny”, ale jak dawniej „Dziennik Łódzki”.

DNIA 10 STYCZNIA na Małej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbędzie się premiera sztuki Johna Murrella pt. „Wspomnienie”, której bohaterką jest Sarah Bernhardt.

W przedstawieniu udział biorą: Ewa Mirowska i Ryszard Sobolewski; spektakl reżyseruje Jacek Bunsch, a scenografię opracowała Zofia de Ines Lewczuk.

WARTO ODNOTOWANIA jest wieczór muzyczny jaki odbył się w Filharmonii Łódzkiej. 2 i 3 stycznia zaprezentowano wieczór koled. Na wieczór złożyły się zarówno koledy staropolskie jak i nowe, a także pastorałki. Wykonawcą był chór mieszany Państwowej Filharmonii w Łodzi, koncertem dyrygował Tomasz

Odpowiadając na ankietę „Odgłosów” (nr 51-52/80) wyraziłem opinię, że XXI Zjazd Związków Literatów Polskich musi się przede wszystkim wypowiedzieć na temat: czym dalej ma być ZLP? Czy utrzymać dotychczasową formułę związaną umownie z nazwiskiem J. Iwaszkiewicza i z najlepszymi doświadczeniami swej przeszłości, czy też ją odrzucić? Pytanie to na odległość pachnie demagogią i nikt go też na zjazdowym forum w ten sposób nie sprecyzował. Mam jednak powody, żeby swój komentarz do XXI Zjazdu ZLP sprowadzić do próby odpowiedzi na wyżej sformułowane pytanie.

Przypomnijmy wpiwer krótko sytuację w ZLP przed zjazdem, pod prezesurą Jarosława Iwaszkiewicza, który od dziesięcioleci był dla zdecydowanej większości niekwestionowanym autorytetem moralnym i pisarskim, człowiekiem w jakimś sensie niezastąpionym, ponad układami personalnymi, wytrwałym sternikiem związkowej nawy, wymijającym zreczenie większość raf, jakie czyhały na ZLP w konsekwencji błędów w polityce kulturalnej. Sekundował mu w tym dziele partyjny lider środowiska, Zbigniew Załuski, którego zasięg nie sposób przecenić. Obydwu tych ludzi zabrakło. Właśnie takich, którym udawała się rzecz praktycznie niemożliwa: utrzymywanie równowagi wszystkich sił w Związku, tworzenie zarządów w ten sposób nie sprzecywał. Mam jednak powody, żeby swój komentarz do XXI Zjazdu ZLP sprowadzić do próby odpowiedzi na wyżej sformułowane pytanie.

W czym więc sprawa? — może ktoś zapyta. Sprawiedliwie stało się zadość. Posierpniowy ruch socjalistycznej odnowy przekreśla tamte praktyki, odpowiedzialni ludzie z partii ponieśli konsekwencje, dyskutujemy obecnie nad wprowadzeniem prawnych gwarancji, żeby nie powtórzyły się błędy i wynaturzenia, które miały miejsce w przeszłości. A jednak? Nie wszystko do końca zostało powiedziane.

Nie roszczę sobie pretensji, żeby to uczynić, chociaż nie widzę też powodów, żeby się publicznie na ten temat nie wypowiedzieć. Przez ostatnie dwie kadencje byłem „z urzędu” (jako prezes Oddziału) członkiem ZG ZLP i z tego tytułu czynnym uczestnikiem wydarzeń życia związkowego (bardziej może obserwatorem, niż animatorem, bo po jednej i drugiej stronie decydowała „warszawska” większość; zresztą moją sprawą było przede wszystkim zajmowanie się własnym środowiskiem). Jednak nawet ten sposób uczestnictwa upoważnia mnie do stwierdzenia, że nigdy żaden członek naszego Związku, niezależnie od swoich poglądów i stosunków z władzą, nie spotkał się z jakąkolwiek formą osobistej dezaprobaty ze

strony pisarzy partyjnych. Bywało natomiast, i to dziesiątki razy, wprost przeciwnie. Wystarczy zajrzeć do sprawozdania Komisji Interwencyjnej, działającej pod przewodnictwem Andrzeja Wasilewskiego, sekretarza POP, czy zapytać o to Jerzego Putramenta, wieloletniego wiceprezesa ZG, kierującego w ostatnich miesiącach pracami Związku. Formuła koalicyjna była więc praktyką, a nie szyldem, jedyną właściwie możliwą do przyjęcia koncepcją współdziałania

CZY KONIEC PEWNEJ FORMUŁY?

i obrony ludzi „nieprawomyślnych”, których, oprócz wspólnoty zawodowej, wszystko bardziej dzieli, niż łączy. Współdziałanie pisarzy zaliczanych do tzw. opozycji demokratycznej z pisarzami — członkami partii, oparte na zasadzie współpartnerstwa, dialogu, kompromisu, niwelacji ekstremizmów z obydwu stron — sprawdziło się w życiu. I wydawało się, że ma przed sobą przyszłość.

Nie twierdzą, że nie ma jej obecnie, ale... Właśnie, to „ale”, i kilka zasadniczych wątpliwości. Zaczęły się one rodzić już na parę tygodni przed Zjazdem, niepokoić głosami z dyskusji na rozmaitych zebraniach, znalazły swój szczególny wyraz w wyborze delegatów warszawskiego Oddziału. Oddziału, który ma ponad 1300 członków ZLP, zresztą ponad 60 pisarzy, a tym samym jego delegaci stanowią decydującą siłę na Zjeździe. A wybory te, przeprowadzone w nerwowym dniu 10 listopada, wykazały dobitnie, kogo nie wybrano i oznaczały cofnięcie votum zaufania architektom dotychczasowej polityki związkowej. Przebieg Zjazdu, wybory nowego ZG, zmiany w statucie, były już tylko konsekwencją tego faktu. Przy czym twierdzą, nie zonglując paradoksami, że nie się także strasznego nie stało. Wszelkie zmiany i wybory miały charakter legalny i wzorowo demokratyczny, gdyby znow nie pewne „ale”... Przewodniczącym mianowicie poprawkę w statucie, że delegaci spośród siebie wybierają nowy ZG (32 osoby, po przednio 24, plus prezesi oddziałów). Wydaje się to

oczywiste, tak jest w większości związków i stowarzyszeń twórczych. Praktycznie oznacza to wyeliminowanie 15 przedstawicieli oddziałów terenowych, wybranych przez środowiska całego kraju, mających swoje, nie raz bardzo trudne, specyficzne problemy, o których ani usłyszy w Warszawie. Powstała, czy pogłębia się w ten sposób, stary podział: stolica — prowincja. I nikt mnie „statystyka demokratyczna” nie przekona, że to był krok do przodu. Kilku delegatów usiłowało udowodnić, że to błąd, ale nie znaleźli nawet poparcia u wszystkich kolegów z... prowincji. (N.b. w kulturalnych Zjazdach, po wyborach do ZG, w których prowincja „przepada”, słyszałem głosy, że trzeba znaleźć jakiś sposób na tę demokratyczną „dyskryminację”, ale to może też emocje, przemilczmy je, by nie wywoływać ducha separatyzmu).

Fakty mają więc swoją wymowę. Jak się chce mieć w Zarządzie Głównym jasną sytuację i wzorcowy statut, to trudno, trzeba odpisać na straty tych kilku-kilku facetów z prowincji, którymi ktoś może manipulować. Tak się zresztą ktoś wyraził o całej sprawie z trybuny Zjazdu i uzyskał gromki poklask, bo już z „manipulacją” zerwalimy na wieczne czasy.

A, wracając do dyskusji, uchwał, rezolucji. Niewiele o nich wiedzą czytelnicy gazet, bo poza przedstawicielem PAP, na salę obrad... nie zaproszono dziennikarzy. Bezskutecznie usiłowałem znaleźć ludzi, by mi wytłumaczyli, dlaczego tak się stało. Zdumiewająca praktyka, powiedzmy ogólnie, gdy gromko domagamy się jawności życia politycznego, a zamykamy drzwi przed przedstawicielami opinii publicznej.

Zresztą mój zarzut ma raczej charakter merytoryczny. Sądzę, że w niektórych przypadkach, tam, gdzie emocje wzięły górę nad rozważaniem, lepiej się stało, że to głosy zabrzmiały na forum wyłącznie „rodzinnym”. Dotyczyło to zwłaszcza ocen bliższej i dalszej przeszłości, naszpikowanych faktami, których już nikt od dawna nie kwestionuje, ale mimo to powierzchownych i uproszczonych. Do krytycznych rozliczeń trzeba będzie wracać, ale nie w atmosferze wiecu, lecz odpowiedzialności i konkretnie. Te szanse trzeba dać ludziom, którzy nie tylko w kulturze biorą na swoje barki ciężar naprawy Rzeczypospolitej.

Mój krytycyzm dotyczy raczej ekstremów, niż ogólnego tonu dyskusji. Zabrzmiało w niej wiele głosów zatroskanych, wnikliwych, odpowiedzialnych. Te same wartości reprezentuje większość uchwał i postulatów dla nowego ZG. Przyszłym poczynaniom Związku sprzyjać będzie również korzystny klimat opinii publicznej w sferach życia społecznego, życzliwość mecenatu państwowego, o czym mówił minister kultury i sztuki Józef Tejchma; zainteresowanie współpracą ze środowiskiem literackim zgłosił również przedstawiciel NSZZ „Solidarność”. Do nowych władz związkowych weszło sporo pisarzy znanych ze swoich społecznikowskich pasji, poczucia odpowiedzialności i umiejętności konstruktywnego działania.

Czy to wszystko wystarczy? Pod warunkiem, że nie zostanie zaprzeczane żadne z pozytywnych doświadczeń związkowej samorządności, wypracowane w ostatnim dwudziestoleciu. Przeciwnie działania mogą się fatalnie odbić na jedności środowiska i interesach literatury jako całości. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Oby!

JERZY WAWRZAK

P.S. Po otrzymaniu pełnej dokumentacji Zjazdu obiecuję wrócić do niektórych problemów, już konkretnie.

KRONIKA KULTURALNA

Szymański. W wieczorach wziął udział Wojciech Siemion prezentując łódzką publiczności gawędy i poezję polską.

W MUZEUM SZUKI czynna jest wystawa „Z pogracza plastyki i filmu z lat 1923-1936”.

W CENTRALNYM MUZEUM WŁOKIENICTWA obejrzyć można wystawę „Dawne i współczesne narzędzia włókiennicze” i „Tkanina zabytkowa w zbiorach CMW”.

MUZEUM HISTORII RUCHU REWOLUCYJNEGO oddział Radogosty jest organizatorem wystawy „Martyrologia w plakatce”.

BARDZO INTERESUJĄCA ekspozycja przygotowała plastycy-artysty i amatorzy, skupieni wokół „Galerii 78” na Retkini. Na wystawie pt. „Choinkowy korowód” prezentowane są ozdoby na drzewka. Zamierzeniem organizatorów wystawy jest przypomnienie starej tradycji rodzinnej przygotowania choinkowego wystrój i zainspirowanie do jej wykonywania. Tym więc którzy jeszcze wystawy nie obejrżeli radzę się pospieszyć, ponieważ czynna będzie tylko do 10 stycznia.

W SALI PIOTRÓWSKIEGO Biura Wystaw Artystycznych do 15 stycznia czynna jest wystawa prac pt. „Wzrębne kobiecy”. Na wystawie zgromadzono około 100 obrazów, grafik i rysunków pochodzących z wielkiej Galerii Sztuki Wojciecha Siemiona. Obejmują one okres od początku ubiegłego stulecia po dzień dzisiejszy, a wśród prezentowanych eksponatów można obejrzeć dzieła takich twórców jak: Tadeusz Azentowicz, Zofia Strwińska, Józef Mehoffer, Witkacy, Jerzy Nowosielski, Tadeusz Kuliszewicz, Benon Liberski i Duda-Gracz.

JUŻ PO RAZ pięćdziesiąty łódzianin 7 stycznia oglądał w Teatrze Wielkim „Zorbe” Johna Kandra i Freda „Eba”. Przypominamy, że odtwórcą roli Zorby jest Włodzimierz Zaleski, nagrodzony za te kreacje „Srebrnym Pierścieniem”. Obok niego główne partie wykonują: Izabela Kobas Ewelina Kwaśniewska, Jadwiga Pietraszkiewicz i Kazimierz Kowalski.

WIECZÓR ALEKSANDRA BŁOKA

Narzekamy — i nie bez powodu — na słabe zainteresowanie szerszych warstw publiczności imprezami, organizowanymi w ramach upowszechniania kultury. Ale kierownictwo Domu Przyjaźni przy ul. Narutowicza miało niedawno trudności niejako odwrotnego rodzaju. Po prostu — a było to 19 grudnia ubiegłego roku — zabrakło tam miejsc dla chętnych do udziału w uroczystym wieczorze poświęconym stuleciu urodzin wielkiego poety rosyjskiego Aleksandra Błoka.

W imprezie, zorganizowanej przez łódzki oddział Polskiego Towarzystwa Ruscystycznego przy współdziałaniu Instytutu Filologii Rosyjskiej UL i ZW TPP-R w Łodzi, zaprezentowano bogaty program. Rozpoczął go monodram według słynnego poematu Błoka „Dwunastu”, zrealizowany w sposób bardzo oryginalny i piękny przez dwie panie: Danutę Piaseczną-Bianchi z IFR UL (reżyseria) oraz studentkę III-go roku filologii rosyjskiej Beatę Nikodemską (aktorstwo).

Następnie wysłuchano czterech interesujących referatów naukowych. Autorami dwóch pierwszych byli naukowcy akademicy Instytu-

tu Filologii Rosyjskiej. Dr Witold Parniewski mówił o religijnych i biblijnych motywach w twórczości Błoka, a Andrzej Łazari podzielił się spostrzeżeniami nt. stosunku poety do Apollona Grigoriewa, jednej z barwniejszych postaci literatury rosyjskiej.

Dwa następne wystąpienia poświęcone były zagadnieniom recepcyjno-translatorским. Halina Tumolska, laureatka i nagrody za recenzję przekładu poetyckiego na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji (Łódź 1978), zajęła się tłumaczeniami poezji Błoka, które wyszły spod pióra znanego poety okresu międzywojennego, Józefa Czechowicza — zwracając uwagę na stosunek Czechowicza do autora „Dwunastu” i eksponując pewne powinowactwa światopoglądowe i poetyckie obu twórców. Wreszcie Ewa Nowak, absolwentka łódzkiej rusycystyki, podzieliła się refleksjami dotyczącymi kilku polskich przekładów jednego z najznakomitszych wierszy Błoka „Nieznojoma”.

W trzeciej części wieczoru odbyła się dyskusja nad referatami. Wzięli w niej udział m. in. znany literat i tłumacz Tadeusz Chrościelewski oraz teoretyk literatury dr Henryk Pustkowski. Ich wnikiwe i głębokie rozważania, wzbogacone własnymi przekładami z Błoka (T. Chrościelewski) i wierszami napisanymi z jego inspiracji (H. Pustkowski) odpowiadały z liryczno-dramatycznym monodramem, który zapoczątkował imprezę. Wraz z nim śpięły one wieczer Błokowski słońca i piękną kłamrą poetycką.

ZYGMUNT GROSBART

„ODNOWY DZIEŃ POWSZEDNI”

W numerze 51-52 „Odgłosów” Grzegorz Gazda w swym felietonie „Odnowy dzień powszedni” jako przykład właściwej akcji dziennikarskiej wskazuje program poświęcony zamkowi malborskiemu i jego dyrektorowi. Na pierwszy rzut oka sprawa wygląda tak: skompromitowano nieuk i usunięto go. Nie bronić człowieka, którego poznałem w dodatku tylko dzięki programowi telewizyjnemu, ale w związku z tym może być w jego sprawie również obiektywne, jak większość telewizorów, przykłady podejmowanych przez niego działań jasrawo wskazują na łamanie wszelkich zasad naukowych i prawnych ochrony zabytków i to — jak na ironię — w sferze muzealnej, instytucjonalnie zajmującej się nią.

Uważam jednak, że zorganizowanie na miesiąc przed Nowym Rokiem szopki jego kosztem jest zbyt dużym poświęceniem. Zorganizowano mu telewizyjny pokazowy proces, na który zasięgnięto tylko w części. Przynajmniej równą z nim winę ponosi wojewódzki konserwator zabytków w Elblągu — pani sędzią zresztą w studio w roli takby świadka, a nie współoskarżonego (jeśli trzymać się nomenklatury sądowej). Tłumaczenia że dyrektor zwolniony do Malborka dwa razy w roku radę konserwatorską nie tylko jej nie tłumaczy, lecz wręcz przeciwnie. Oznaczają bowiem, że jako merytoryczny zwierzchnik nie może podzielać optymizmu Grzegorza Gazdy co do przyszłości Malborka. Trudno o receptę, tym bardziej, że bazuje na niewielkich informacjach i oddaleniu (nie tylko geograficznym) od Malborka. Na pewno podstawowym rozwiązaniem

byłoby powołanie urzędu konserwatora dla zamku malborskiego, w randze wojewódzkiego konserwatora zabytków. Konserwator z Elbląga zostanie wtedy rozrzeszony, a dyrektor zamku zyska kontrolerską funkcję.

TOMASZ HUBERT ORŁOWSKI

„JESZCZE UCHODZCY”

Szanowny Panie Redaktorze! Z satysfakcją ujrzałem na łamach Pana pisma nie tylko recenzję Andrzeja S. Warzechy z reżyserowanego przez Jerzego Hutka spektaklu „Rozmów uchodźców” Brechta w Teatrze im. Jaracza, ale i polemikę, pisał Jerzego Kosiewicza „Jeszcze uchodźcy” („Odgłosy” nr 46, 16.XI). Autor polemiki ma inne zdanie o wartości spektaklu niż recenzent. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej. Jego dobre prawo. Zdecydowanie się zażądać uwagi Pana i Czytelników nie dlatego, że jestem kierownikiem literackim w Teatrze im. Jaracza. Mojego niepokoju nie wywołała opinia Jerzego Kosiewicza, lecz styl i metoda, bardzo powściągliwe w naszej prasie literackiej

Dalszy ciąg ze str. 1

JAKIE WIĘC SPRAWY LUDZI INTERESUJĄ?

Nie będę relacjonowała przebiegu spotkania. Zajmę się tylko niektórymi problemami, szeregując je w sposób subiektywny, a więc tak, jak mnie się wydaje, że są one ważne lub mniej ważne. Zresztą na spotkaniu pytania padały w sposób zupełnie dowolny.

1.

Sprawą najważniejszą jest przebieg realizacji umowy społecznej z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. I takie było pierwsze pytanie. Bierze się ono chyba z niepokoju o naszą najbliższą przyszłość. Przedstawiciele władz rządowych i partyjnych zapewniali przecież, że ich intencją jest pełne wywiązanie się z tej umowy, że są za tym, aby była obustronnie przestrzegana, że trwają prace nad różnymi ustawami, których wprowadzenie w życie warunkowane jest tą umową społeczną. Przebiegiem realizacji tej umowy interesował się również Sejm PRL. Właśnie na tym posiedzeniu Sejmu wicepremier Mieczysław Jagielski, mówiąc o realizacji porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia, stwierdził:

„Gdy V Plenum Komitetu Centralnego PZPR rozpatrywało porozumienie z przedstawicielami robotniczego Wybrzeża, byłem przekonany, że nie ma innej drogi wyjścia z trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się kraj i że będzie to droga korzystna dla klasy robotniczej i narodu, dla partii i władzy ludowej, dla socjalizmu.

Pozostając przy tym przekonaniu — co chcę podkreślić na wstępie — realizacja porozumień była i jest z wielu nie tylko gospodarczych przyczyn zadaniem bardzo trudnym i napotyka liczne przeszkody”.

Te trudności i przeszkody, a także czasem opieszalność administracji państwowej, nieumiejętność szybkiego reagowania na zachodzące wydarzenia, brak elastyczności w działaniu i myśleniu powodują, że ludziom może się wydawać, iż porozumienia nie są realizowane w taki sposób, jakiego należałoby oczekiwać.

TADEUSZ CZECHOWICZ, odpowiadając na pytanie, jak ocenia przebieg realizacji porozumień, podkreślił, że ich realizacja leży w interesie całego społeczeństwa, ale mogą wystąpić pewne przesunięcia terminów, co wynika z naszych ograniczonych możliwości gospodarczych.

Na przykład wolne soboty. Porozumienie z Gdańska głosi:

„Nastąpi opracowanie i przedstawienie do 31 grudnia 1980 roku zasad i sposobu realizacji programów wprowadzenia wolnych płatnych sobót lub innego sposobu regulacji skróconego czasu pracy. Program ten będzie uwzględniał zwiększenie ilości wolnych płatnych sobót już w 1981 roku...”

Wprowadzenie wszystkich wolnych sobót jest ze wszech miar słuszne. Też jestem za tym. Ale, jak sobie pomyśle, że będę miała już teraz wszystkie wolne soboty, kiedy nie do końca wyjaśniono na jakich zasadach ma pracować handel, kiedy nie ustalono, na jakich zasadach ma pracować szkoła, kiedy do końca nie wiadomo, jak ma wychodzić prasa, to lekkie strach mnie ogarnia i wolałabym już nie mieć tych wolnych sobót i nie mieć kłopotów. Rozumiem, że wolna sobota ma dać mnie i innym możliwość wypoczynku, możliwość wykorzystania tego czasu dla mego wewnętrznego, czy duchowego, jak kto woli, rozwoju. Ale, aby tak się stało, muszą być stworzone do tego określone warunki. Żeby wypoczywać mógł ktoś, ktoś musi pracować. Jest to — jak na razie — zasada niepopularna. Wszyscy jednocześnie chcieliby mieć wolne soboty i wolne niedziele. Na dwa dni musiałoby zamierać życie. Czy jest to realne?

Słuszny postulat wprowadzania wolnych sobót zastał nas nieprzygotowanych. Mielśmy już kłopoty ze znikomą ilością wolnych sobót, a cóż dopiero z wszystkimi. Dlatego wydaje mi się, że projekt wprowadzenia w 1981 roku co drugiej wolnej soboty jest sensowny. Pozwoli to bowiem już w praktyce sprawdzić nasze możliwości i propozycje, wypracować system bardziej racjonalny, w roku następnym, kiedy już może przejść na wszystkie wolne soboty, usunąć wszystkie błędy i niedoskonałości.

Jest to moje zdanie. Inni uważają zapewne inaczej. Ale wszyscy chyba

zgodzimy się, że w naszym systemie planowania zabrakło dalekosiężnych prognoz. Przecież wszystkim było wiadomo, że kiedyś — być może za kilka lat — musiało dojść do wprowadzenia wolnych sobót. Czy nie można było przygotowywać się do tego? Czyż nie posiadamy aż nadto różnych instytucji i centrum badawczych? Dlaczego o tym nie pomyślano? Dlaczego teraz nie wyciąga się dawniej przygotowanych planów w kilku wersjach i nie dyskutuje się ich publicznie? To są też pytania, które interesują ludzi.

2.

Naprawa naszej Rzeczypospolitej zależy nie tylko od naszych dobrych chęci i intencji, ale też od działania obiektywnych praw rządzących gospodarką i społeczeństwem. Nie jest tajemnicą, że te prawa były łamane, że nie działały, co doprowadziło do ostrego kryzysu politycznego i gospodarczego. Aby więc wyjść z tego kryzysu trzeba przywrócić prawom ekonomicznym i społecznym ich moc, umożliwić im działanie i liczyć się z tym działaniem. Ma to sprawić reforma gospodarcza.

Różne są opinie. Czy zespół powołany do opracowania tej reformy nie jest zbyt liczny? Czy nie zasiadają w nim znów ludzie, którzy już kilka razy „reformowali” naszą gospodarkę, z wiadomym skutkiem?

Ludzie oczekują raczej na szybką poprawę w gospodarce, co dałoby się odczuć na rynku. Reforma natomiast przyniesie skutki nie tak szybko. Reforma musi ustanowić samodzielność przedsiębiorstw w ramach centralnego planowania opartego na realnych bilansach, a nie pobożnych życzeniach. A to wymaga nie tylko przebudowy struktur, ale i sposobu myślenia ludzi. Na to wszystko potrzeba jednak czasu.

— Jeżeli chodzi o reformę gospodarczą — powiedział na spotkaniu z NSZZ „Solidarność” **TADEUSZ CZECHOWICZ** — to jest to jeden z najpilniejszych problemów do rozwiązania. I dla tej sprawy potrzeba uruchomienia wszystkich twórczych myśli w naszej partii, wszystkie środowiska intelektualne powinny się wypowiedzieć na temat reformy gospodarczej. Albowiem nie jest to tylko sprawa partii, nie jest to tylko sprawa związków zawodowych, a jest to sprawa ogólnonarodowa. W partii przyjmujemy z dużym uznaniem wszystkie inicjatywy podejmowane w tej sprawie. Z zadowoleniem przyjęliśmy propozycje Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w sprawie reformy gospodarczej. Z zadowoleniem przyjęliśmy inicjatywę MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej zwołania w Uniwersytecie Łódzkim konferencji w tej sprawie. Opracowanie reformy gospodarczej jest problemem trudnym i dlatego potrzeba zaangażowania do jego rozwiązywania ludzi o różnych orientacjach, o różnych poglądach, którzy mogliby w sposób wspólny wypracować optymalny model naszej gospodarki...

3.

Stosunek do historii. Czy jest historia w świadomości społecznej? A szczególnie historia najnowsza. Gdzie jest granica między historią, a współczesnością? Czy wszystko, co odchodzi w przeszłość może być jednoznacznie ocenione? Kto ma to robić?

Są to pytania, które nasunęły mi się w trakcie słuchania odpowiedzi na pytania o ocenę wydarzeń z lat 1968, 1970, 1976. Odpowiedź była prosta: ocenę tych wydarzeń należy zweryfikować. To prawda. Strajkujący robotnicy Huty Warszawa domagali się opublikowania raportu Jana Szydłaka z 1971 roku o wydarzeniach 1970 roku. Czy opublikowanie tego raportu rozwiąże sprawę oceny tych wydarzeń? Czy dziś z perspektywy czasu, bogatsi o doświadczenia sierpnia 1980 roku, nie patrzemy inaczej na całą naszą przeszłość?

Jeden z pytających uparcie domagał się odpowiedzi, czy grudzień 1970 roku to była tragedia, czy zbrodnia? Ale, czy nawet zadowolająca pytającego odpowiedź, rozwiąże problem naszego stosunku do historii? Jest on przecież znacznie głębszy. A polega na tym, że z historii naszej wybierano tylko te fragmenty, które potrzebne były dla uzasadnienia aktualnie politycznych tez. O sprawach dziś niewygodnych raczej milczano. Taki stosunek do historii odcina nasze więzy z przeszłością, a żaden czas teraźniejszy nie może istnieć samoczynnie, bez związku z czasem przeszłym. Musimy znać i rozumieć naszą historię, nawet w jej najboleśniejszych dla nas fragmentach, aby dobrze zrozumieć czas teraźniejszy i śmiało patrzeć w przyszłość.

Jest to sprawa na osobną dyskusję.

4.

Polityka kadrowa zawsze budzi najwięcej namietności, wątpliwości, zastrzeżeń. Na spotkaniu padły zarzuty, że dyskryminuje się partyjnych. Ale nie tylko. Mówiono również o tym, że wiele stanowisk obsadzano ludźmi nieodpowiednimi,

TADEUSZ CZECHOWICZ i **JÓZEF NIEWIADOMSKI** zgodnie stwierdzili, że w polityce kadrowej stosować się będzie zasady właściwej oceny kwalifikacji i predyspozycji do zajmowania określonych stanowisk. A także że są za tym, aby wprowadzić ściśle określona rotację zarówno na stanowiskach partyjnych, jak i państwowych. Zasady te

DOMSKI — Łódź posiada 100 tysięcy ha ziemi uprawnej, a dla pełnego zapewnienia dostaw żywności powinna posiadać minimum 200 tysięcy ha ziemi uprawnej, czyli drugie tyle. Urząd Miasta nie występował jednak jeszcze z propozycją korekty granic województwa, choć z ościennych gmin napływają petycje domagające się przyłączenia ich do województwa łódzkiego. Zdaniem **JÓZEFA NIEWIADOMSKIEGO** sprawa obecnie najpilniejszą jest precyzyjne ustalenie strefy żywieniowej, a więc terenów, z których miasto musi otrzymać mleko, makę, mięso, warzywa. Sprawą najważniejszą jest obecnie poprawa zaopatrzenia Łodzi w artykuły spożywcze. Korekta granic jest sprawą na później.

Stan naszej komunikacji miejskiej znany jest powszechnie, jako że wszyscy z niej korzystamy. Krytykuje się „berliety”, gdyż są nieprzystosowane do komunikacji miejskiej. Łódź otrzymała już „ikarusy”, ale jest ich mało. Nadal brakuje części do „berlietów”. W tej sprawie Zespół Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego występował na ogólnopolskiej antenie. Dyrektor fabryki w Jelczu zobowiązał się do szybkiej reakcji. Szuka się też rozwiązań we własnym zakresie, angażując do remontu taboru MPK łódzkie przedsiębiorstwa. Są to jednak półśrodki. Problem komunikacji w mieście wymaga osobnego omówienia i kompleksowego rozwiązania.

Padły też pytania na temat budownictwa szpitali, szkół i kościołów. Zapytano, czy zgodnie z interesem społecznym budowano piękne gmachy dla komitetów partyjnych, urzędów wojewódzkich, milicji, a nie budowano szpitali, tak przecież potrzebnych?

W Łodzi — jak to oświadczył **JÓZEF NIEWIADOMSKI** — „buduje się” obecnie 3.500 łóżek szpitalnych, to znaczy buduje się pomieszczenia, w których te łóżka staną. Remontu wymagają szpitale, w których znajduje się 4.000 łóżek. Są to wielkie przedsięwzięcia. Remontowany będzie wreszcie szpital przy ulicy M. Curie Skłodowskiej, należący do Akademii Medycznej w Łodzi.

W 1980 roku wydano dwie decyzje w sprawie budowy kościołów, prowadzi się modernizację kościoła na Retkini, co właściwie jest budową nowego kościoła w oparciu o tam istniejący. Będzie budowany kościół na Widzewie-Wschodzie, powstał kościół na Teofilowie. W sprawie budownictwa sakralnego Urząd Miasta utrzymuje stały kontakt z Kurią Biskupią i jej postulaty są realizowane.

W 1981 roku rozpocznie się budowa szkoły na Chojnach Zatorzu i w dzielnicy mieszkaniowej Radogoszcz — Wschód. Natomiast na Radogoszczu — Zachód szkołę poszerzy się o stojącą obok kamienicę, a mieszkających tam nauczycieli przeniesie się do bloków.

Obecnie 63 procent dzieci objętych jest zajęciami w przedszkolach. Potrzeba jeszcze 4.200 miejsc w przedszkolach. Problem ten powinien być rozwiązany do 1982 roku. Nie wszystkie nowe przedszkola otrzymują własne, wolno stojące budynki. Wiele z nich umieszcza się w parterowych mieszkaniach we wznoszonych blokach. Takie rozwiązanie wydaje się najbardziej racjonalne.

Jeśli chodzi natomiast o budownictwo administracyjne, to — jak przyznał **TADEUSZ CZECHOWICZ** — popełniono tu rzeczywiście wiele błędów. Zbyttno troszczono się o fasadowość. Szczególnie w nowych województwach. Natomiast w Łodzi takich przypadków nie było. Wprawdzie milicja buduje duże gmachy na Retkini, ale po jego wybudowaniu zwolni wszystkie inne budynki zajmowane w śródmieściu, odda je do dyspozycji miasta, a miasto wykorzysta te pomieszczenia zgodnie ze społecznymi potrzebami.

Wiele było jeszcze pytań szczegółowych. Mówiono między innymi o kłopotach z przedświątecznym zaopatrzeniem i o wielu innych sprawach, które może wydały się drobne, ale trudną i przeszkadzającą w powszednim życiu.

Tadeusz Czechowicz i Józef Niewiadomski oświadczyli, że władze oczekują w tych, jak i wszystkich innych sprawach, propozycji, projektów, pomysłów, które mogłyby przyczynić się do ich najważniejszego rozwiązywania. Ten wiecór pytań i odpowiedzi był właściwie wstępna formą szerokich społecznych konsultacji. Na początek trzeba bowiem ustalić, co ludzi interesuje, aby później wiadomo było, nad czym szczególnie należy dyskutować

CO INTERESUJE LUDZI?

acz gdzieś tam zasłużonymi, że nie kwalifikacje decydowały, a powiązania, zależności i układy, że ludzi „przywożono w teczkach”. Tak było. „Karuzelę kadrową” krytykuje się nie od dziś. Jak do tej pory z niewielkim skutkiem.

Jest w tej polityce kadrowej pewna sprzeczność. Z jednej strony wykształciliśmy sporą grupę zdolnych, szeroko patrzących na świat, dobrze przygotowanych ludzi, którzy często odnoszą sukcesy zawodowe poza granicami kraju, a z drugiej — ciągle mamy wrażenie, jakby brakowało odpowiednio przygotowanych kadr. Rodzi się więc wątpliwość, czy przypadkiem nie stosujemy wadliwych kryteriów w ocenie tej kadry, czy zawsze jednak kieruje się u nas kryteriami zawodowymi, kwalifikacjami, czy też bierze się pod uwagę inne cechy, jak na przykład uległość, brak własnego zdania, posłuszeństwo wobec przełożonych.

są obecnie dyskutowane i zostaną sprzeżowane w dokumentach IX Zjazdu PZPR.

Dyskutowane są obecnie zasady demokratycznego wybierania w partii. Dyskusji wymagać też będzie ordynacja wyborcza do Sejmu PRL i rad narodowych.

5.

Wiele pytań padło pod adresem prezydenta miasta Łodzi — **JÓZEFA NIEWIADOMSKIEGO**. Wybieram z nich tylko niektóre, mające ogólniejszy charakter.

Niemal powszechne jest mniemanie, że reforma podziału administracyjnego z 1975 roku zbytnio, i to niekorzystnie dla miasta, okroiła województwo łódzkie. Obecnie — jak to potwierdził **JÓZEF NIEWIA-**



Foto: R. Łucyszyn

BOGDA MADEJ

ki kierownictwa, stosowanej wobec komplikującej się coraz bardziej sytuacji, nazwałbym taktyką „kupczenia”. Zdecydowano się wreszcie rozmawiać sensownie z reprezentantami strajkujących załóg. Chodziło jednak o to, aby w tej grze — bo tak traktowało rozmowy większość Biura Politycznego — nie stracić podstawowych atutów. Rozważano przy tym jeszcze możliwość użycia siły przeciw strajkującym, jako ostateczności. Tym spekulacjom towarzyszyły deklaracje kierownictwa partyjnego tego typu, jak te zgłaszane w przemówieniu I sekretarza KC na IV Plenum:

„Musimy z tego dramatycznego konfliktu znaleźć wyjście w drodze porozumienia z klasą robotniczą, z ludźmi pracy”.

„Dokonyujemy zasadniczego zwrotu w polityce partii i państwa, dostosowujemy ją do realiów dnia dzisiejszego”.

Dowodem na wiarygodność powyższych sformułowań miały być rozszady kadrowe dokonane na IV Plenum tak w KC, jak i wcześniej w Radzie Ministrów. Powołano na odpowiednie funkcje również tych, którzy wcześniej już dostrzegali narastające nieprawidłowości i usiłowali im się skutecznie przeciwstawić, w których głosy przedtem ignorowano.

Tymczasem presja społeczna była coraz silniejsza. Opinia a przynajmniej sympatia większości członków partii, była po stronie strajkujących robotników. Równocześnie wielu członków PZPR było wśród strajkujących. Tego faktu nie można było w taktyce partii nie brać pod uwagę. Jednakże rozmowy w Gdańsku i Szczecinie popadały co raz w impas. Obie strony były zmęczone. Brakowało doświadczenia w prowadzeniu tego typu rokowań. Obie strony wciąż były niechętnie skłonne do ustępstw oraz rozumnych kompromisów. Podejrzliwość była obopólna. A równocześnie część partyjnych działaczy i publicystów prześlagała się w artykułach i wystąpieniach w eskalowaniu atmosfery narodowego zagrożenia. Przewodzone na pamięć na zasadzie analogii najwięksi tragedie naszego narodu. Chodziło o złamanie oporu strajkujących osób prowadzących dialog z przedstawicielami władzy.

Taktyka „kupczenia” i zastraszania nie przyniosła powodzenia ekipie kierowniczej, ostatecznie jej autorytet i zmniejszyła poważnie szansę na szybkie wyjście z kryzysu. Już wówczas zaczął on narastać w partii.

V Plenum KC „przyjęło do zatwierdzającej wiadomości” sprawozdania komisji rządowych powołanych do rozmów z przedstawicielami strajkujących załóg Gdańska i Szczecina. Nazajutrz, 31 sierpnia podpisano porozumienie w Gdańsku (dzień wcześniej w Szczecinie). Podpisane przez obie strony porozumienia — dokumenty umowy społecznej — były zgodne z interesami socjalistycznej Polski, zgodne z interesami robotniczymi.

Kolejnym, integralnym elementem arsenału środków „góry” partyjnej w taktyce „na wczoraj” była próba takiego wymanewrowania społeczeństwa, aby udało się fałsz krytyki i niezadowolona nakierować jedynie na związki zawodowe.

Co bardziej zagorzali członkowie ekipy E. Gierka ze szczebla centralnego i wojewódzkiego podjęli działalność weryfikacyjną w stosunku do szeregowych członków partii. Groźno wydalaniem z szeregow partii tych, którzy strajkowali, jak również i tych, którzy wstępował do „Solidarności”. Błędem poważnym w taktyce tego okresu było niejednoznaczne stwierdzenie, co do tego, czy podpisane na Wybrzeżu porozumienia miały moc obowiązującą na terenie całego kraju. To spowodowało kolejną, potężną falę strajków i konieczność powołania nowych komisji rządowych, które podejmowały rozmowy w Jastrzębku i innych miastach.

Przełomem stało się VI Plenum KC PZPR. Nie dało ono odpowiedzi na wszystkie dręczące członków partii problemy, bo i nie mogło. Dokonało istotnych zmian kadrowych i przedstawiło wstępny i z konieczności bardzo ogólny wykładnie przyczyn wydarzeń lata 1980. Równocześnie dało ocenę charakteru tego konfliktu stwierdzając, iż „był to masowy, robotniczy protest nie przeciw socjalizmowi, a przeciw naruszeniom jego zasad, nie przeciw władzy ludowej, a przeciwko niedobrym metodom rządzenia, nie przeciw partii, lecz przeciwko błędom w jej polityce (...) Nie był to sprzeciw konsumentów, lecz protest obywateli”...

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

miany takich poglądów narodził się w Łodzi. Krajowa Komisja Porozumiewawcza poparła inicjatywę zorganizowania ogólnokrajowej konferencji a związane z nią merytoryczne sprawy ujęła w swoje ręce „Solidarność” z Uniwersytetu Łódzkiego na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym. W ten oto sposób w końcu grudnia odbyła się w uniwersytecie dwudniowa konferencja pod hasłem „Reforma gospodarki, a warunki porozumień społecznych”.

Jedno z głównych zadań konferencji sprowadzało się więc do wymiany poglądów. Opinie te głosili z jednej strony członkowie polscy ekonomiści, z drugiej członkowie „Solidarności”.

Te gorące dyskusje i polemiki najtrafniej scharakteryzował przewodniczący Rady Programowej konferencji docent Wiesław Caban mówiąc, iż narada ujawniła stan umysłów na ten temat u szczytu 1980 roku.

Burzliwy, gorący, niespokojny — trudno o przymiotnik najtrafniej charakteryzujący ów stan umysłów, jeśli zechcemy wziąć pod uwagę nie tylko trzeźwą ocenę istniejącego stanu rzeczy. Jednocześnie natomiast wskazywano na przyczyny obecnego kryzysu. Są one już na tyle znane, iż zbędne byłoby przytaczanie ich w tym miejscu. Raz po raz powtarzano, iż kraj nasz spotyka kryzys wyjątkowo głęboki i w dodatku kryzys nie będący następstwem wojny.

Ekonomicznych propozycji wyjścia z sytuacji jest wiele. Najbardziej znana jest działalność Rządowej Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej. Najwięcej też zastrzeżeń i społecznych niepokojów budzi skład tej komisji złożony m.in. z przedstawicieli resortów i instytucji obciążonych winą za istniejący stan rzeczy, jak również tok prac niezbyt różniący się od dotychczas obowiązującej praktyki.

Założenia reformy opracowane przez tę komisję zostaną wkrótce poddane społecznej dyskusji, a po wniesieniu poprawek i uzupełnień przedstawione Sejmowi przez rząd.

Nie jest słuszne, aby Sejm zabierał głos na końcu i tylko na temat jednego projektu — alarmują już dziś ekonomiści. Niesłuszne jest również, aby rząd występował w roli projektanta reformy i ustalał dla siebie prawa i obowiązki.

Na szczęście — mówiono na konferencji — pozostało jeszcze trochę czasu, aby zdążyć naprawić te błędy. Posiadamy nie tylko projekt Komisji Rządowej, dysponujemy projektami reformy opracowanymi m.in. przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Naczelną Organizację Techniczną, Instytut Nauk Ekonomicznych, Organizacji i Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego oraz grono naukowców z SGPIŚ.

Niestety, projekty te znane są tylko nielicznej grupie osób i przed opinią publiczną chroni je znowa milczenie. A przecież jak powiedział w wywiadzie dla łódzkiej telewizji obecny na konferencji prezes SDP Stefan Bratkowski, już 300 lat temu wynaleziono gazetę i doprawdy trudno zrozumieć przyczyny, dla których tak rzadko decyzje korzystają z tego dogodnego i pożytecznego wynalazku.

Opublikowanie tych projektów na łamach prasy oraz zaprezentowanie ich w telewizji i w radio nie tylko nie przyniosłoby uszczerbku środkom społecznej komunikacji, ale przeciwnie pomogło powszechnej dyskusji na ten temat i całości reformy.

Zgodność poglądów autorów wszystkich projektów, a także autorów referatów wygłoszonych podczas konferencji sprowadza się do stwierdzenia, iż jak to zaznaczył prof. Jan Mujzela — „tradycyjny mechanizm ekonomiczny nie potrafi zapewnić współczesnej gospodarce ani koniecznego postępu efektywności, ani równowagi w stosunkach wewnętrznych i międzynarodowych. Wbrew pozorom tradycyjny, nadmiernie scentralizowany i zburokratyzowany system nie tworzył silnej, centralnej kontroli nad gospodarką. Postępowe zmiany nie mogą więc polegać ani na zwiększeniu

zakresu decyzji w planie centralnym, ani tym bardziej na rozbudowie dyrektywnych metod realizacji planów.”

Według prof. J. Mujzela istota postępowych zmian w gospodarce powinna sprowadzać się przede wszystkim do zapewnienia społeczeństwu realnego wpływu i kontroli gospodarczych decyzji centralnych, do rozumnego ograniczenia zakresu tych decyzji a także do przebudowy całej struktury planowania.

Celem tej przebudowy powinno być jednocześnie umocnienie roli centralnego planowania w określaniu i realizacji strategicznych planów gospodarczych oraz znaczne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw w bieżącym gospodarowaniu. Te dwa kierunki zmian są tylko pozornie sprzeczne ze sobą. Uwolnienie centralnego planowania od drobiazgowej, często nieskutecznej ingerencji w bieżące funkcjonowanie gospodarki pozwoli na umocnienie jego najważniejszej funkcji jaką jest kształtowanie zasadniczych proporcji w gospodarce narodowej. Dzisiaj funkcja ta nie jest skutecznie realizowana przez centralne organa gospodarcze czego przykładem może być brak zbilansowania zużycia energii.



Nieomal każdy projekt podkreśla potrzebę przebudowy systemu planowania centralnego. Przebudowę „centrum” w takim kierunku aby zdołało być kierować procesami gospodarczymi i zapewniło właściwy wybór rozwiązań gospodarczych o charakterze strategicznym.

Projekt Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego proponuje np. 10-letni plan perspektywiczny rozwoju kraju. Plan ten opierałby się na rozwoju przestrzennym kraju, kierunkach specjalizacji gospodarki, rozwoju infrastruktury społecznej i wzorca życia społecznego. Plan taki stanowiłby punkt wyjścia dla decyzji podejmowanych w planach 5-letnich. Plany te stanowiłyby podstawowy dokument do podejmowania dalszych decyzji przez Sejm. Największe zmiany w tym projekcie dotyczą kompetencji „centrum” i to zarówno w dziedzinie inwestycji jak i postępu technicznego oraz oddziaływania na handel zagraniczny (Niektóre problemy z programem PTE zaprezentowaliśmy w poprzednim numerze „Odgłosów”. Inne w następnym).

Co dzieli? Autorów projektów dzieli przede wszystkim podejście do kwestii, którą ujmujemy krótko jako wpływ partii na decyzje gospodarcze. Potrzebne są nam — wyraźnie podkreślił w swoim konferencyjnym referacie docent dr hab. Cezary Józefiak — takie rozwiązania, które wyraźnie pozwolą wprowadzić system godzący mechanizmy planowania centralnego z mechanizmami ekonomicznymi. Najważniejsze jednak, aby reformie gospodarczej towarzyszyła reforma systemu rządzenia.

Poglądy na rozmiar zmian w tej dziedzinie stanowią główny problem dyskusji między autorami projektów Zdanem C. Józefiakiem, najbardziej całościowo ujmując te sprawy projekt opracowany w SGPIŚ pod kierunkiem dra L. Balcerowicza. Niestety, projekt ten znany jest tylko nielicznemu gronu specjalistów. Nie ma wątpliwości co do tego, iż o powodzeniu reformy zdecydowały warunki

polityczne. Warunki te uniemożliwiły już ekonomiczne próby reform podejmowanych w latach 1956—1957 oraz 1971—1973.

Obecna, zmieniona sytuacja społeczno-polityczna pozwala mieć nadzieję na realizację zamierzonych reformy, przy założeniu, iż z wielu propozycji zostanie wybrany najbardziej skuteczny wariant.

Różne są także poglądy na temat tzw. scenariusza reformy. Są zwolennicy etapowego wprowadzania zmian w życie. Np. prof. J. Mujzela zakłada wprowadzenie w przyszłym roku doroznych zmian, a decydującą fazę reformy proponuje na lata 1982—83 i następnne. Spore grono opowiada się jednak za późniejszym, lecz za to całościowym wprowadzeniem reformy.

Związki zawodowe mają do odegrania w procesie przygotowania i realizacji reformy niezmiernie ważną rolę.

Powinny one przede wszystkim wywierać nacisk na konsekwentne przeprowadzenie reformy gospodarczej do końca, gdyż jest ona niezbędnym warunkiem wyjścia z kryzysu gospodarczego. Nie oznacza to jednak, jak podkreślała na konferencji większość mówców, iż możliwe jest wyjście z kryzysu bez poniesienia określonych społecznych kosztów. Do kosztów tych można zaliczyć m.in. konieczność zmiany miejsca pracy i ewentualnego przekwalifikowania znacznej liczby pracowników (skreślenie z planu inwestycji, ograniczenie administracji gospodarczej, likwidacja ukrytych nadwyżek roboczych). Do kosztów należy zaliczyć również reformę cen i płac.

Związki zawodowe nie mogą uchylać się od zajęcia stanowiska w tych kluczowych problemach społecznych i muszą być do tego dobrze przygotowane. Chodzi bowiem o to, aby przyjęte rozwiązania możliwe najlepiej przyczyniły się do wyjścia z kryzysu, a jednocześnie, aby nieuniknione koszty tej operacji ponoszone przez społeczeństwo (najmniej winne w powstaniu kryzysowej sytuacji) były możliwie najniższe.

Lista propozycji dla „Solidarności” jest długa. Wymienię tu za prof. J. Beksiakiem wpływ związków zawodowych na określony typ reform gospodarczych, podział dochodu narodowego, kierunek rozwoju gospodarki, warunki pracy i życia. Konieczne jest również sprecyzowanie stanowiska związków zawodowych wobec składu organów samorządu, poszukiwanie odpowiedzi na pytanie czy ma to być reprezentacja załogi, czy też organ poszerzony o przedstawicieli organizacji politycznych i społecznych oraz samorządu terytorialnego. Niezbędne jest również zajęcie stanowiska co do kompetencji samorządu oraz stosunku między organizacjami zawodowymi i samorządem.

Czy efekt konferencji okazał się zgodny z zamierzeniami organizatorów, czy też nie spełnił ich oczekiwań?

Do Rady Programowej dochodziły opinie, iż konferencja zawiązała uczestników. „Opiniowanie wymaga określonego punktu odniesienia — powie na zakończenie doc. Wiesław Caban. — Z punktu widzenia naukowców cel został spełniony. Zaprezentowano tu bowiem różnorodne, odmienne poglądy na ten temat. Umieścimy je w przygotowywanym raporcie, który prześlemy władzom „Solidarności”. Jeśli natomiast niektórzy uczestnicy konferencji niepokoił się, że nie zdołano ujednoczyć poglądów związków na temat reformy to przypominam, iż ujednoczenie poglądów oznacza niekiedy ich narzucanie.”

Dwudniowa debata wykazała, że obrona interesów ludzi pracy w Polsce oznacza dziś walkę o to, aby skutki kryzysu okazały się jak najmniej dotkliwe dla najmniej zarabiających i aby wybrany wariant reformy nie pozwalał na powtórzenie się w przyszłości podobnej sytuacji.

— Budujące jest — dodał na zakończenie Andrzej Słowik — że społeczeństwo nie da się już nabrać ani na żadne nazwisko, ani na program, który nie zyska szerokiej, społecznej aprobaty.

MAŁGORZATA GOLICKA

Z KONFERENCJI PRASOWEJ

DZIENNIKARKA: — Mam pytanie do dr R. Bugaję. Jest pan obserwatorem prac Komisji Rządowej do Spraw Reformy ze strony „Solidarności”. Czy uważa pan, iż rola obserwatora jest wystarczająca, czy przedstawiciel związku nie powinien mieć wpływu na pracę komisji?

R. BUGAJ: — Status obserwatora uważam za dobry. Nie sądzę, że związek zawodowy powinien przedstawiać swój własny wariant reformy. Pamiętajmy, że jest to bardzo skomplikowane przedsięwzięcie techniczne. Swoją rolę obserwatora rozumiem w ten sposób, iż powinienem informować związek o przebiegu prac komisji, a przede wszystkim o zachodzących nieprawidłowościach w systemie jej prac.

DZIENNIKARZ: — W tej chwili mówimy o różnych wariantach reformy gospodarki. Czy „Solidarność” przychyliła się do tego, że zaczęliśmy mówić na ten temat? Czy można sądzić, iż powszechni się praktyka powstawania wielu wariantów planów gospodarczych.

R. BUGAJ: — W Komisji Rządowej było kilka głosów opowiadających się za przedstawieniem na zakończenie pracy kilku wariantów reformy rządowi, Sejmowi i opinii publicznej. Ten punkt widzenia nie został jednak przyjęty. Opublikowane dokumenty przedstawiają warianty jedynie w kilku kwestiach. Całość stanowi jeden projekt. Osobiście uważam, że jest to wariant nie najszczęśliwszy.

Co do wariantów planów, to oczywiście jest to kwestia kluczowa. Wielkie zadanie położył w tej mierze docent C. Józefiak, który bardzo mocno ten problem akcentował. Problem ten znajduje pewne odbicie w dokumencie, ale nie jestem przeświadczony, czy wystarczające.

DZIENNIKARKA: — Czy i w jakim zakresie prowadzone są badania nad systemem polityki kadrowej? Mam tu na myśli politykę kadrową opartą na nowoczesnych naukowych przesłankach.

H. KRÓL: — Problem polityki kadrowej sygnalizowało kilka zesposot Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej. Na ostatnim posiedzeniu komisji podjęto decyzję powołania zespołu do spraw polityki kadrowej. Zespół ten zajmie się opracowaniem zasad polityki kadrowej niezbędnej do realizacji przyszłej reformy gospodarczej.

DZIENNIKARZ: — Jakie zadania widzieliby państwo dla „Solidarności” w najbliższym okresie w dziedzinie spraw społeczno-gospodarczych.

S. BRATKOWSKI: — Propozycji może być bardzo dużo. Postaram się podsunąć jedną ofertę, o której wspominałem już I sekretarzowi KE PZPR. Myślę tu o fotografii warszwy biurokratycznej w przemyśle ódskim. Istotne byłoby przesłanie, ile osób zajmuje się tego typu działalnością. Są to niebagatelne informacje, mające decydujący wpływ na funkcjonowanie gospodarki.

W 1920 r. moja babka nauczycielka wybrała się z Poznania do Łodzi i zakupiła trochę nici za 650 milionów marek. 60 lat później grozi nam podobna hiperinflacja jeśli nie przywrócimy równowagi rynkowej. (Delegat z Poznania)

Partia nie może mieć codziennego wpływu na gospodarkę, gdyż wtedy nie jest w stanie reagować w sytuacjach krytycznych. Proponuję założyć pod firmą „Solidarność” spółdzielcze banki, cukrownie i inne zakłady rolnicze. (Delegatka z Koźła)

Z DYSKUSJI

Możemy zaciśnąć posę, jeżeli będziemy przekonani, że za 2—3 lata poprawi się sytuacja ekonomiczna. Środki masowego przekazu, które do tej pory skutecznie ogłupiały naród, mają teraz szansę, aby się zrehabilitować, upowszechniać zasady reformy i dyskutować nad nimi. (Delegat z Kędzierzyna)

Potrzebne jest przygotowanie społeczeństwa do reformy i pozyskanie obywateli do wyrzeczeń w imię wyższych społecznych racji. Tylko „Solidarność” jest w stanie wziąć to trudne zadanie na siebie. (Delegatka z Warszawy)

Niezbędne są kartki na mięso. Na-

wet na 2—3 lata. Tylko w ten sposób będziemy mogli gospodarować zasobami żywności. (Delegatka z Katowic)

Obawiam się racjonowania żywności Kartki na mięso wcale nie rozwiążą sytuacji. Należy jak najszybciej przystąpić do udrożenia reformy. (Delegatka z Warszawy)

Wzruszony słucham wystąpień na konferencji, zwłaszcza osób młodszych. Jest to jeszcze jeden dowód na to, że młode pokolenie nie pozwoliło się deformować przez nas, starszych, którzy z różnych powodów nie spełnili swych obowiązków. (Delegat z Łodzi)

Walkę o zniesienie przywilejów „czerwonej elity” uważam za ważny wkład w odbudowę wartości socjalizmu. (Delegat z Warszawy)

Rolnicy mówią, że do sprawowania władzy niezbędne są: chłodna głowa, gorące serce i czyste ręce. (Delegat z Poznania)

Konieczne jest określenie samorządności przedsiębiorstw. Dziś, robotnik nie bardzo wie, za co faktycznie odpowiada i co do niego należy. (Delegat z Łodzi)

WACŁAW OPACKI

Kontrola

Spoleczeństwo żąda instytucjonalnych gwarancji przed powtórzeniem się błędnych decyzji w sferze gospodarowania, organizacji i zarządzania. Spoleczeństwo żąda kontroli, systematycznej, rzetelnej, obiektywnej, konkretnej i jawnej. Chce autentyczności i skuteczności kontroli oraz objęcia nią wszystkich bez wyjątku, bez względu na zajmowane stanowiska osób, zlikwidowania w ten sposób panującej w odczuciu społecznym powszechnej atmosfery „klimatów bezprawia”. Spoleczeństwo twierdzi, że w ostatnich latach obserwowano się całkowity zanik kontroli w najbardziej drażliwych fragmentach życia społecznego. Spoleczeństwo tak twierdzi, podając przykład najbliższy z brzegu: sprawy Szczepańskiego, Tyrańskiego, których wieloletnia bezkarność w takim przekonaniu utwierdza.

Oddajmy pewną sprawiedliwość. Kontrola istniała. Śmiem twierdzić, że była to kontrola rzetelna, a ludziami ją przeprowadzającym ufałem i ufam. Dlaczego więc społeczeństwo twierdzi, że brak było kontroli wszelkich przejawów życia politycznego, społecznego, gospodarczego na wyższych szczeblach kierowania państwem. Spoleczeństwo twierdzi, że kontrola była środkiem manipulacji władzy, a więc nie służyła społeczeństwu, a władzy. Po drugie: kontrola była inspirowana przez organy władzy w kierunku spraw najmniej istotnych, bo w interesie władzy było strzeżenie przed nią własnego poletka. Jeśli jednak przynosiła „owocne” wyniki, to w rzeczywistości społecznej takich wyników nie było. Od pokontrolnego protokołu do ukarania winnych i zlikwidowania nieprawidłowości droga bardzo daleka. Protokół zostaje przesłany do organów prokuratorskich, które podają ocenę prawną. Jeśli sprawa dotyczyła poważnej osoby, prokurator przesyłał akt do prokuratora wojewódzkiego (jeśli on sam bezpośrednio od razu nie przejął sprawy), który zabierał ze sobą akta, by przedkierować je w różnych gabinetach. W społeczeństwie twierdzi się, że w tych gabinetach dokonywała się fuzja oceny moralnej z oceną prawną. Jeśli dla osób zainteresowanych wynik wypadł niezadowolająco, to w chwilę po wyciszeniu było wszczęcie karne postępowanie przygotowawcze. W społeczeństwie mówiło się o takim: „ten od dawna już nie ujrzała światła dziennego. I ona stała się — istnienie jej bowiem było tajemnicą polityczną — podstawą powszechnego społecznego mniemania, że znajdują się osoby w państwie, które naigrywały się z pojęcia praworządności. Spoleczeństwo wskazywało na bezskuteczność kontroli.

Jeśli jednak stwierdzono uchybienia nie kwalifikowały się one ocenę karnej, to i tak wynik kontroli oraz postulowane przez nią kierunki zmian były pomijane lub w niedostatecznym stopniu wykorzystywane w procesie kierowania i zarządzania do regulowania i korygowania działalności państwowej i gospodarczej. Słowem: kontrola przestała być zasadniczym instrumentem wykonywania funkcji kierowania i zarządzania, co stało się z kolei przyczyną tego, że przed aparatem kontroli nie stawiano zadań, które mogłyby służyć doskonaleniu działalności administracyjnej i gospodarczej.

2

W społeczeństwie ugruntowało się przekonanie, że kontrola jest wyłącznie narzędziem represyjnym w procesach kierowania i zarządzania gospodarką, sterowania procesami społecznymi, w ogóle — w rządzeniu krajem. Jest to oczywiście nieprawda, ale nie ono samo wyrobiło taki stosunek do instytucji kontroli. Spoleczeństwu pomogły w tym pewne mechanizmy na szczytach władzy, dla której kontrola służyła sygnalizowaniu wyłącznie negatywnych faktów i ich rejestrowaniu, bez wpływu na późniejsze decyzje. Widocznie władzy nie była na ręce świadomość, że kontrola ma nie tylko służyć w wykrywaniu podstawowych wad, ale i ujawnianiu zasadniczych przyczyn fatalnego funkcjonowania gospodarki i administracji.

Kontrola nie istnieje samoistnie, ale stanowi integralny element systemu kierowania i zarządzania. Funkcjonuje ona tak, jak jest system ukierunkowany. Tak więc kontroli nie można wydzielić w formie samodzielnej struktury organizacyjnej z ogólnopaństwowego systemu zarządzania. Utrzymywanie państwa w ciągłym rozwoju i równowadze wymaga kontroli jego instytucji i organów, która by umożliwiała odpowiednio szybkie i skuteczne reagowanie na wszelkie niepożądane czy nieprawidłowe zjawiska w każdym czasie oraz w każdym miejscu. Głównym zadaniem kontroli powinno być usprawnianie procesów zarządzania i kierowania. Działa ona w państwie tylko wtedy efektywnie, gdy jako narzędzie kierowania i zarządzania umożliwia regulację i korekturę wszelkich zorganizowanych działań w każdej ich fazie, prowadząc do zapewnienia możliwie najlepszego w danych warunkach zaspokojenia potrzeb społeczeństwa.

Wykonywanie kontroli w państwie nie można sprowadzać tylko do wykrywania błędów i uchybień, ale również — a może przede wszystkim — powinna ona polegać na ocenie sprawności i skuteczności kontrolowanego działania, a także na określeniu sposobów usunięcia stwierdzonych błędów i ustalaniu środków zmierzających do zapobiegania im na przyszłość, co zapewni prawidłowy przebieg realizacji społeczno-gospodarczych zadań.

3

W Polsce działa około 40 uprawnlonych instytucji kontrolnych, które przeprowadzają około pół miliona kontroli rocznie o niezwykle szerokim wachlarzu problemów. Najważniejszą z nich jest kontrola wykonywana przez Sejm, w którego imieniu spełnia ją Najwyższa Izba Kontroli.

Historia funkcjonowania Najwyższej Izby Kontroli jest najwymowniejszym przykładem tego, że kraj nasz w okresie istnienia ludowej państwowości nie miał wyrażenie sprzeciwianego i ugruntowanego spojrzenia na model kontroli państwowej. Zgodnie z art. 20 ust. 3 Konstytucji PRL „Sejm (...) sprawuje kontrolę nad działalnością innych organów władzy i administracji państwowej”. Kon-

trola ta realizuje się m.in. przez rozpatrywanie sprawozdań rządu z wykonania narodowego planu społeczno-gospodarczego i budżetu państwa oraz poprzez podejmowanie na tej podstawie uchwał w sprawie absolutorium dla rządu. Komisje jako organy pomocnicze też mają w tym swój udział. Oceniają one m.in. szczegółowo poszczególne fragmenty sprawozdań. Podejmują też działalność kontrolną. Istotną rolę w wykonywaniu funkcji kontrolnych Sejmu spełnia Najwyższa Izba Kontroli.

NIK powierzało się od początku jej istnienia nadzór nad całością kontroli. W różnych okresach istnienia Polski Ludowej torowały drogę odmienne koncepcje kontroli państwowej. Raz najwyższa instytucja kontroli kraju była podporządkowana legislatywie, raz przejmowana była przez rząd.

Najpierw funkcję kontroli wykonywało Biuro Kontroli przy Prezydium Krajowej Rady Narodowej, która potem zastąpiła Rada Państwa. W listopadzie 1952 roku, a więc w cztery miesiące po uchwaleniu Konstytucji PRL Najwyższa Izba Kontroli powołana 9 marca 1949 r. jako organ Rady Państwa zostaje zlikwidowana, pozycje i miejsce jej zajmuje Urząd Ministra Kontroli Państwowej, który jest podporządkowany bezpośrednio prezydentowi Rady Ministrów. 13 grudnia 1957 r. po masowych społecznych wystąpieniach żądających gwarancji odnowy życia politycznego Sejm reaktywuje działalność Najwyższej Izby Kontroli.

NIK formalnie i merytorycznie jest podporządkowana Sejmowi od 1976 r. W tym roku (27 marca) równocześnie prawie z uchwaleniem nowelizacji Konstytucji PRL (10 lutego) NIK „przechodzi pod rząd” stając się organem wspólnym Sejmu, Rady Państwa i rządu. Sejm formalnie powołuje i odwołuje jej prezesa. Rada Państwa doradza i dokonuje korekty działalności instytucji, a rząd obejmuje bezpośrednio zwierzchnictwo inspirowane (lub raczej tłumiące inspirację) działalność kontrolną, rozciągając w kierunku spraw najmniej istotnych dla kraju. Dla przykładu, podjęcie z własnej inicjatywy kontroli naczelnych i centralnych organów administracji państwowej wymagało zgody prezesa Rady Ministrów i nie mogło wyjść poza ustalone zakresy.

Włączenie NIK do systemu organów administracji państwowej, zaś jej prezesa w skład Rady Ministrów spowodowało poniesienie wespół z innymi członkami Rady Ministrów odpowiedzialności politycznej za działalność rządu.

Powstała sytuacja, czego byliśmy świadkami, że bez najmniejszego komentarza lub polemicznego głosu przegłoszono uchwały w Sejmie uprzednio w całości przygotowane przez rząd. Sejm bowiem nie dysponował informacjami, które mogły być podstawą do jakiegokolwiek rzetelnego dyskusji. W czasie sejmowych posiedzeń obowiązywały nie podlegające także poselskiej dyskusji reguły: posiadacz numer jeden był zawsze przedstawicielem rządu, nie zaś posłowie. A gdy przebieg posiedzenia transmitowała telewizja, to na sali panowała gęź, w której pierwsze skrzypce grali przedstawiciele najwyższych organów wykonawczych państwa. Z telewizji też tylko każdy przeciętny obywatel mógł poznać Sejm. Zazwyczaj oglądał na szklanym ekranie, jak potężne audytorium jednomyślnie głosowało za uchwaleniem ustawy. Miało to oznaczać manifestację jedności i jednorodności wszystkich Polaków. Do tego dochodził spektakularny charakter posiedzenia. Panowała opinia, że Rola Sejmu została zredukowana do uroczystej i widowiskowej sceny sejmowej plenarnej. Forma zacięła nad treścią tak dalece, że prawie wszyscy obywatele skłonni byli sądzić, że zalecia posłów sprawozdają się do uroczystego zasiadania w ławach, a było w tym trochę prawdy. Rola Sejmu w wielu sprawach została poważnie zredukowana, a dyskusja nad wieloma istotnymi dla kraju problemami przestała się w sejmowych salach do rzędowych gabinetów. Działo się to na pewno ze szkoda dla kraju, jak i samego rządu. Bo nie mając wglądu w działalność organów wykonawczych i nie sprawując jako ciało koleżeńskie zwierzchniej kontroli, Sejm nie mógł zapobiec poważnym błędom w polityce państwa.

Niedawna kontrola spowodowała to, że forum sejmowe przyjmowało ciała upoważnione tylko do formalnej akceptacji. Nawet najbardziej kontrolowane w porządku dyskusji wypowiedzi przedstawicieli kół i klubów poselskich ztraciły swój ostry wymiar na posiedzeniach plenarnych. Niewątpliwie takie prezentowanie najwyższego organu ustawodawczego było efektem tzw. propagandy sukcesu coraz bardziej usilnie lansowanej od 1975 roku.

Przywrócenie w październiku 1980 r. Najwyższej Izbie Kontroli należnej jej rangi i rozszerzenie uprawnień kontrolnych stworzyło Sejmowi możliwości wnikania w rzeczywisty obraz spraw państwowych, stwarzając tym samym gwarancję istnienia wpływu na ich bieg.

Obecnie przez NIK nie jest powoływany w skład Rady Ministrów w charakterze jej członka. Będzie mógł natomiast uczestniczyć w posiedzeniach rządu w zupełnie innym charakterze, bez współodpowiedzialności za jego prace. Z kolei rząd będzie miał prawo zgłaszać wnioski w sprawie przeprowadzenia przez NIK kontroli, a także będzie otrzymywał cały zestaw informacji, sprawozdań i wniosków z całością przeprowadzanych przez nią kontroli. Kontrola NIK poddana została bez żadnych ograniczeń działalności naczelnych, centralnych i terenowych organów administracji państwowej oraz podległych im przedsiębiorstw, zjednoczeń i innych jednostek organizacyjnych. W ustalonym zakresie NIK może też kontrolować spółdzielnie i ich związki oraz organizacje społeczne. W przypadku spółdzielni — kontrola ta może obejmować realizację zadań zleconych przez państwo oraz gospodarce mieniem społecznym, w przypadku organizacji społecznych wykonywanie zadań zleconych przez państwo, wykorzystywanie pomocy państwa oraz dysponowanie funduszami pochodzącymi z czynów i wpływów społecznych. Pozostała sfera działalności oddana jest nadal kontroli samorządu tych organizacji.

NIK może też kontrolować jednostki gospodarki nie społecznej w zakresie dostaw, robót i usług na rzecz jednostek gospodarki uspołecznionej.

Obecnie NIK będzie przedstawiał uwagi do sprawozdań Rady Ministrów z wykonania planu społeczno-gospodarczego i budżetu państwa co ma być jednym z elementów decydujących o udzieleniu absolutorium. Sejm będzie mógł udzielić bądź odmówić udzielenia rządowi absolutorium z wyłączeniem określonego członka Rady Ministrów, co będzie wyrazem dezaprobaty wobec niego podlegającej za sobą odwołanie go ze składu Rady Ministrów. Ustawa zobowiązuje NIK do przedstawiania zarzutów wobec poszczególnych członków centralnych organów państwowych jak i innych osób zajmujących kierownicze stanowiska w administracji państwowej. Pracownicy NIK otrzymali specjalny status prawny. Nawiazanie stosunku pracy następuje na podstawie mianowania. Bada oni korzystać ze szczególnej ochrony, a podlegają one odpowiedzialności karnej będzie wymagało zgody kolegium NIK.

NIK w wyniku przeprowadzonych w roku 1979 kontroli sporządziła 8,8 tys. wystąpień oraz 390 informacji zbiorczych dla najwyższych władz państwowych i partyjnych, 65 spraw przekazała prokuraturze.

NIK jest najważniejszym organem kontroli, ale nie jedynym. W Polsce działa i z pewnością będzie funkcjonować kilkadziesiąt innych rodzajów kontroli o rozmaitym charakterze. Istnieją u nas na

przykład kontrole specjalne, którą spełniają instytucje — organy wydzielone i podległe kierownictwu rządu bądź poszczególnym ministrom. Należy tu przede wszystkim wymienić Główny Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny w Ministerstwie Finansów, Państwową Inspekcję Handlową, Inspekcję Pracy usytuowaną organizacyjnie w związkach zawodowych...

Wymienić należy także kontrole resortowe, na którą składają się wszystkie formy i rodzaje kontroli wykonywane w ramach poszczególnych resortów (inspekcja resortowa, rewizja gospodarcza...). Zobrazujmy liczbami ich działalność. W 1979 r. np. pracownicy Państwowej Komisji Cen w toku przeprowadzonych blisko 17 tys. kontroli ustalania i stosowania cen zbadali 28 tys. artykułów rynkowych — zaopatrzeniowo-inwestycyjnych. Wyniki ujawniły zawyżenie 1/3 kontrolowanych cen artykułów.

Przeprowadzono kontrolę finansową 4 tys. przedsiębiorstw, które ujawniły w 2,7 tys. wypadkach naruszenie dyscypliny finansowej. W 200 jednostkach sprawdzanych stwierdzono zawyżenie statystyki i sprawozdawczości na łączną sumę 900 mln zł.

90 tys. kontroli w handlu, usługach i gastronomii przeprowadziła Państwowa Inspekcja Handlowa. Z towarów o ogólnej wartości ponad 1,1 mld zł PIH zgłosiła zastrzeżenia jakościowe w ponad 40 tys. przypadkach. Wykryto także nadwyżki na sumę ok. 23 mln zł.

W ramach prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa zbadano ponad 52 tys. decyzji administracyjnych, skutkiem czego skierowano do zainteresowanych organów 12 tys. wystąpień żądających usunięcia stanu naruszenia prawa i istniejących nieprawidłowości, a także ponad 500 sprzeciwów od prawomocnych orzeczeń.

Najpowszechniejszy charakter ma jednak kontrola związkowa, która działa samodzielnie, ale w zintegrowanym systemie, w którym funkcje koordynacyjne pełni komitety kontroli społecznej. W ciągu 15 lat istnienia przeprowadziła ona 2,5 mln kontroli w placówkach handlowych i usługowych i zastosowała 1,5 mln różnego typu wniosków dyscyplinarnych i porządkowych, głównie o charakterze usprawniającym, skierowanych do jednostek nadzrzędnych nad obrotem towarowym i usługami.

60 tys. społecznych kontrolerów przeprowadziło w sumie w 1979 r. 265 tys. kontroli, najczęściej rozdziału miesa pomiędzy handel a gastronomię. W 12,2 tys. przypadków skierowano wnioski do organów strzeżenia prawa. W 1979 r. po raz pierwszy zastosowano formę bezpośrednich wystąpień kierowanych przez wojewódzkie instancje związkowe do producenta (dyrekcji, KSR) w celu poprawy jakości wytworu bądź zlikwidowania zaletności dostaw do handlu.

W województwie miejskim łódzkim inspektorzy związkowi przeprowadzili w 1979 r. 5300 kontroli, ujawniając 2500 nieprawidłowości. Dwie sprawy skierowane do sądu, 21 do kolegium do spraw wykreżeń, 25 do prokuratury, 12 do organów finansowych.

W jednej ze spółdzielni produkcyjnych w Hrubieszowie w roku zeszłym zawiązało się w ciągu jednego miesiąca aż czterdzieści kontroli. Znany jest przykład wielomilionowej afery gospodarczej, która objęła 12 przedsiębiorstw tej samej branży. W okresie pełnej działalności grupy przestępczej przeprowadzono tam tysiąc czterysta trzydzieści siedem kontroli. Można by mnożyć przykłady. Nasuwa się jeden tylko wniosek, wysuwany przez kontrolę kompleksową, zintegrowaną, uwzględniającą specyfikę badanej jednostki. Mimo istnienia i działania instytucji kontrolnych o różnych nazwach i różnego usytuowania organizacyjnego tych instytucji w systemie zarządzania przeprowadza się kontrole tych samych rodzajów działalności. Powstała paradoksalna sytuacja: pewne wyniki życia społecznego i gospodarczego kontrolują więc wszyscy, a inne znowu są kontrolowane tylko w stopniu dostatecznym lub nie kontrolowane w ogóle. W konsekwencji prowadzi to do tego, że kierownice organy nie orientują się co w zarządzaniu przez siebie dziedzinie się dzieje.

Inny problem stanowi powiązanie decyzji z kontrolą, co jest jednym z dezydujących elementów efektywności funkcjonowania systemu kontroli w państwie. Istnieje zbyt częste zjawisko oderwania kontroli od decyzji wydawanych przez organy zarządzania czy kierowników poszczególnych szczebli organizacyjnych gospodarki narodowej. System kontroli w kraju nastawiony jest w zasadzie na badanie zgodności działania z przepisami prawa i nie może w ten sposób wykonywać w pełni podleganych zadań w zakresie regulowania i korygowania procesów działalności państwowej w zarządzaniu tą działalnością.

Brak jest dostosowania zakresu działalności kontrolnej do zadań i kompetencji poszczególnych szczebli organizacyjnych administracji państwowej i gospodarczej.

Brak jest zwartego powiązania instytucji kontroli z systemem zarządzania. Mimo pozytywnego usamodzielnienia się i rozszerzenia pola i zakresu działania Najwyższej Izby Kontroli, to jednak scentralizowane w hierarchicznym układzie zasady i warunki zarządzania swoją dyktandością ograniczają inicjatywę i zmniejszają odpowiedzialność za podejmowane działania kierowników niższych szczebli organizacyjnych, a w konsekwencji paraliżują kontrolę, jako nieodłączną funkcję kierowania.

Aby się uniezależnić od niepożądanych wpływów niedomagań organizacji kierowania i zarządzania — czas najwyższy wszelkie organy kontroli resortowe, spółdzielczej — mimo pozostawienia formalnie — podporządkować merytorycznie i administracyjnie (włącznie z odwołaniem i powołaniem na stanowiska) Najwyższej Izbie Kontroli i jej delegatom. Przykład spółdzielni kółek rolniczych. Lustratorzy zatrudnieni w Wojewódzkim Związku Kółek Rolniczych z każdego przeglądu i kontroli sporządzają protokoły, które są przedstawiane zarządom, od których zależy ich dalsze wykorzystanie. I często w interesie zarządu leży nieujawnianie ujętych w nich niedomagań, na których powstanie miała wpływ często fatalna polityka kierowania związkami w województwie.

Istnieje zbyt dużo różnego rodzaju instytucji kontroli i inspekcji (resortowych i specjalnych) luźno powiązanych z systemem kierowania i zarządzania, a niekiedy wręcz oderwanych. O takich instytucjach mówi się w społeczeństwie, że „żyją własnym życiem”.

5

W kraju na mocy ustawy z 26 maja 1978 r. powołano 2402 komitety kontroli społecznej, w których zaczęło działać 34 406 osób. Wszystkie rozpoczęły swoją działalność od rozpoznania struktury, zakresu działania, kierunków i wyników pracy występujących na ich terenie form i organów kontroli społecznej. „Stwierdzono nieorzyskanie przez szereg komitetów sklepowych, wiejskich komitetów dostawców i rad użytkowników z przysługujących im uprawnień kontrolnych” — czytamy w jednym z pierwszych podsumowań wyników działalności KKS.

„WKKS w Legnicy wysłuchał informacji wojewody o sposobie załatwiania wystąpień organów kontroli społecznej przez wojewódzkie jednostki administracyjne i gospodarze. WKKS w Krakowie rozpatrzył informacje o skuteczności działań kontrolnych organów samorządu mieszkańców. Liczne

są również przykłady sprawowania nadzoru KKS nad realizacją wniosków i zaleceń pokontrolnych z udziałem kierownictwa ogniw związków zawodowych i organizacji społecznych („Życie Partii”).

„Przykładem (kontroli) przestrzegania praworządności — przyp. O.W.) niech będzie działanie rzeczni-ka kontroli społecznej w gminie Sierpc, gdzie kierownik domu towarowego nadużywał alkoholu w godzinach pracy, nie wywiązywał się z obowiązków zawodowych. Zie stosunki panowały też w jednej z baz „Samopomocy Chłopskiej” (przewodniczący WKKS w Płocku w wywiadzie dla „Kulis”).

Zabierając głos przewodniczący WKKS, sekretarz KL PZPR, Genowefa Adamczewska, stwierdziła, że WKKS zajmie się przede wszystkim sprawami zanizania podatków, a następnie zawiązania cen i uzyskiwania przez producentów niezasadonych zysków, wreszcie problemem wykańczania mieszkań przez zakłady. Będzie przeprowadzona kontrola mająca na celu sprawdzenie, jakie wnioski wyłączone w związku z badaniami NIK i jakie konsekwencje zastosowane wobec osób winnych powstania nieprawidłowości” (informacja o działalności WKKS w Łodzi zamieszczona w „Expressie Ilustrowanym” z 18.VIII.80 r.).

Dyrektor Biura Prasowego Rady Państwa, doc. dr Stanisław Gebert: „nie zostanie powołana funkcja rad narodowych, jako podstawowych organów kontroli społecznej”.

Czy wymienione tu wyżej działania podejmowane przez KKS nie wchodzi w zakres państwowej czy społecznej kontroli nad narodowymi? Czy radny mieszkać w jednej dzielnicy, w której wadliwie funkcjonuje handel, przecięt jest codziennym klientem, nie zauważy sprzedaży spod lody, czy też braku świeżego pieczywa czy wadliwej dystrybucji mleka? Czy radny będący pracownikiem zakładów, w którym istnieją i funkcjonują także inne ciała kontrolne, także POP, nie zauważy fatalnych stosunków między ludzkich? Sprawy administracji państwowej zajmuje się organ finansowy administracji państwowej, który zrobi to o wiele z większą fachowością, sprawą zawiązania cen i uzyskiwania przez producentów niezasadonych zysków zajmie się radny, PIH lub związane organy kontroli. Czy nie jest to pomniejszenie kompetencji?

Niewątpliwie komitety kontroli społecznej poszerza zakres badanych zjawisk życia społecznego i gospodarczego, ale czy rzeczywiście poszerzają — tak jak to jest w założeniach — zakres udziału obywateli w współrządzeniu krajem? Twierdzić też, że istnienie komitetów kontroli społecznej paraliżuje zaufanie do pozycji radnego, sankcjonuje słabość społecznych instytucji państwowych i społecznych. Niepokojące jest dla mnie przede wszystkim to, że komitety kontroli społecznej wchodzi tam, gdzie od dawna powinny znajdować się instytucje kontrolne administracji państwowej i gospodarczej, czy też organizacji społecznych. Dla wszystkich jest jasne, że komitety kompensują niedowład już dawno istniejących instytucji kontrolnych państwa i organizacji społecznych i związkowych. Masowe odrywanie pracowników, przedsiębiorstw do kontrolowania handlu, gastronomii czy usług — kosztem funkcjonowania organizacji tych instytucji czyni bezprawnym pobieranie gaź przez osoby zatrudnione w instytucjach kontrolnych państwa. Obok kosztów społecznych występują tu niewątpliwie koszty moralne, podrywanie zaufania do instytucji zarządzania i kierowania krajem. Stawiam śmiało tezę, że efekty są tu odwrotne proporcjonalne do zaangażowanej energii społecznej. Moją ocenę uważałem za fakt powszechnego zjawiska formalizowania działalności komitetów kontroli społecznej, przejawiającej się w nadmiernym przywiązaniu do planów, sprawozdań, narad oraz wzmocnieniu preferencji rozmaitych zadań koordynacyjno-analitycznych z bezpośrednią szkodą dla podejmowanych konkretnych zadań.

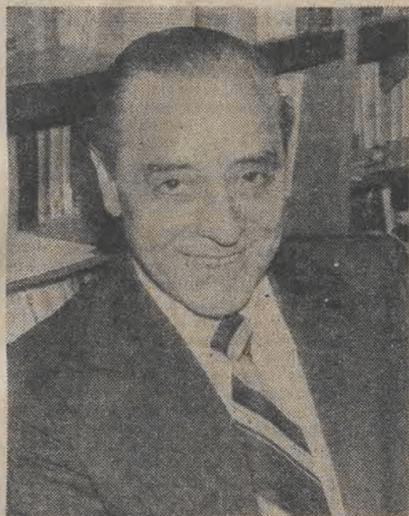
Mnie, że przygotowywana w przyszłości ustawa o radach narodowych weźmie pod uwagę, że sprawa najważniejsza nie jest dalsze mnożenie ilości instytucji kontroli i kontrolerów, lecz skoncentrowanie uwagi na skuteczności ich pracy.

Jest jeszcze jedna sprawa — składu Wojewódzkiego Komitetu Kontroli Społecznej oraz komórek KKS na szczeblach miast i gmin. W ich skład wchodzi najczęściej dyrektorzy, prezesi, a przewodniczącym WKKS jest najczęściej przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Zdarza się też, że — „dla umocnienia rangi i pozycji WKKS — przewodniczącym WKKS jest sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR. A gdzie robotnicy? Zaczynają tu głos z XVI plenum ZG SZSP odbywającego się w dniach 10—21 września 1980 r. w Unieście. Jan Harasimowicz, przewodniczący Ogólnopolskiej Rady Nauk Społecznych tak powiedział: „Poza tym istnieje tendencja, że trzeba wrócić do zasady konsultacji, a przecież ta zasada jest sprzeczna z demokracją socjalistyczną. Jeśli dobrze funkcjonują rady narodowe, Sejm, związki zawodowe, to po co jakieś wydumane konsultacje z klasą robotniczą? Konsultacje są po to, aby usankcjonować brak kontaktu przywódcy z klasą robotniczą. Albo dalej: komitety kontroli społecznej, kolejni świeca dymna puszczone w ostatnich latach. Kto ma kogo kontrolować, czy sekretarz KW, który jest szefem komitetu kontroli społecznej np. w Kielcach miał kontrolować swojego i sekretarza KW? Musimy po prostu stanąć realnie na gruncie marksizmu-leninizmu”.

Powtórzę więc słowa Lenina: „Dopóki kontrola robotnicza nie stanie się faktem, dopóki przodkajcy robotnicy nie zorganizują i nie poprowadzą wyścigowej i bezlitosnej kampanii przeciwko tym, którzy podważają te kontrole lub beztrzebie do niej odnoszą, dopóty nie można po pierwszym kroku do socjalizmu (po kontroli robotniczej) uczynić drugiego kroku, to znaczy przejść do robotniczego regulowania produkcji (...) O tym, że nieodpowiedzialność i brak kontroli w dziedzinie produkcji i podziału produktów to zaprzaczenie zaczątków socjalizmu, to okradanie skarbu państwa”.

I dalej: „W organach kontroli powinni znaleźć się najlepsze elementy naszego ustroju społecznego — mianowicie po pierwsze produkujący robotnicy, a po wtóre, elementy naprawde oświecone, za które można ręczyć, że ani słowa nie przyjmą na wiarę, ani słowa nie wypowiedzą wbrew własnemu sumieniu”.

Kontrola



EUGENIUSZ SINDEWSKI: „Obrońca jest tylko człowiekiem, jego możliwości działania są także ograniczone”.
Foto: R. Lucyszyn

— Jako dziekan Rady Adwokackiej w Łodzi ma pan doskonale rozeznanie w problematyce zawodowej obrońców i pełnomocników sądowych, a także praktyki wymiaru sprawiedliwości. Czy z pańskiego punktu widzenia słuszną jest opinia, iż w ostatnich latach jakby zmniejszyła się skuteczność działania adwokatów przed sądem?

— Myślę, że jest to opinia, która ma niezbyt wiele wspólnego z rzeczywistością, choć może ona wskazywać zarazem, że w odczuciu społecznym wiele orzeczeń sądowych rozmiąta się z intuicyjnym poczuciem sprawiedliwości. Działalność adwokatów może wpływać na zmniejszenie tego dysonansu. Trzeba przecież pamiętać, że zwłaszcza w sprawach karnych oskarżony czuje się osaczony. Mimo formalnej równowagi procesowej stron, przeciwko niemu działa przecież cała machina władzy. Często, a nawet chyba zbyt często stosowanie aresztu tymczasowego, który przybiera w ten sposób charakter represyjny sprawia, że oskarżony widzi w adwokacie swego jedynego sprzymierzeńca. O obrońca jest tylko człowiekiem, jego możliwości działania są także ograniczone. Może on praktycznie kontrolować jedynie prawidłowość postępowania. To może u oskarżonego, a zwłaszcza jego rodziny budzić odczucie bezskuteczności pewnych działań.

Dodatkowy czynnik rodzenia się podobnych opinii stanowi niezrozumienie niesienia pomocy adwokackiej w ogóle. Stan świadomości prawnej społeczeństwa przedstawia w Polsce wiele do życzenia. Prawo wyłącza na przykład udział adwokatów w sprawach dotyczących wypadków przy pracy. Pokrzywdzony nie ma możliwości dochodzenia swoich roszczeń przed sądem. Ludzom jest to trudno zrozumieć. Wadliwością rozwiązań prawnych obciążają niekiedy adwokatów, którzy przecież nie są zdatni im pomóc niezależnie od swych chęci. Takich rozwiązań prawnych nie akceptowanych społecznie jest w Polsce zresztą dużo więcej. Ale trudno odpowiedzialnością za to obciążać adwokatów.

— A jakie są, w odczuciu pana, rzeczywiste granice skuteczności działania adwokatów przed sądem?

— Działanie adwokata wpływa głównie na zdiagnozowanie surowości prawa. Mogłoby wskazać wiele przykładów, że bez pomocy adwokata oskarżeni otrzymaliby o wiele surowsze wyroki nie tylko w sprawach, które ze względu na charakter czynu budzą emocje społeczne, ale nawet w sprawach standardowych, pospolicznych. W ogromnej grupie przestępstw gospodarczych wymiar kary uzależniony jest od wysokości szkody, która często zostaje mylnie wyliczona w postępowaniu przygotowawczym.

Ale to tylko jedna strona zagadnienia. Trzeba także zwrócić uwagę na psychologiczny aspekt obrony adwokackiej. Wiele oskarżonych, mających pełną świadomość przebiegu procesu, nie przyznaje się przed sądem do winy, aby nie ranić własnej rodziny która wstrząśnięta ich czynem mogłaby się od nich po prostu odwrócić. To zerwanie wszystkich więzi z najbliższymi miałoby nieobliczalne skutki społeczne, podważałoby przede wszystkim resocjalizację, odbierałoby człowiekowi motywy odciążenia za jego czyn. Ciężar takiego zaprzeczenia winy jest dla wrażliwych jednostek, które znalazły się w kolizji z prawem, naprawdę wielki. Jedyną osobą, której oskarżony wyznaje, dlaczego przybrał taką linię postępowania przed sądem jest właśnie adwokat. To są te humanitarne aspekty naszego zawodu, które dają osobistą satysfakcję.

— Przyzna pan jednak, że w pracy adwokata są i takie momenty, kiedy sukces zawodowy nie cieszy?

— To prawda. Prawo nie jest idealne, rozmiąta się niekiedy z tym, co moglibyśmy bardzo niedoskonale nazwać instynktem czy poczuciem moralnym. I w tych wypadkach adwokat często przeżywa konflikt sumienia. Występujemy przecież przed sądem nie tylko jako obrońcy; w trybie prywatno-skarżowym występujemy także jako oskarżyciele. Pamiętam, że przed laty, z uwzględnieniem pewnego mocodawcy oskarżałem o zniesławienie znanego plastyka W.K., który, w sposób bardzo emocjonalny, opisał w prasie wille na ulicy Krakowskiej, czym poczuł się dotknięty jej właściciel. Sprawę tę dla mocodawcy wygrałem: jako pełnomocnik procesowy odniosłem sukces, ale jako człowiek miałem moralnego kaca. To prawda, że nie każdy sukces zawodowy cieszy bo nie zawsze normy prawa pokrywają się z odczuciami etycznymi. A z drugiej strony adwokat nie może odmówić pomocy prawnej, podobnie jak nie może odmówić pomocy potrzebującemu lekarz.

— Wspomniał pan, że oskarżony czuje się w procesie osaczony. Czy znaczy to, że zagwaran-

towana przez prawo równość stron nie jest rzeczywistą równością?

— Równość stron jest tylko pozorna. Po prostu uprawnienia prokuratora są wyższe niż oskarżonego i jego obrońcy. Prokurator jest dziś władcą całego postępowania przygotowawczego. Od jego wyłącznej woli zależy dopuszczenie obrońcy do tej fazy postępowania, zezwolenia na widzenie się z oskarżonym, a nawet tylko zapoznanie się z aktami sprawy. W tych warunkach gwarancje praw oskarżonego są często tylko pustą deklaracją, tym bardziej, że prokuratorzy korzystają niemal zawsze ze środka zapobiegającego uchylaniu się przed wymiarem sprawiedliwości, w postaci aresztu tymczasowego. Nieostre pojęcie „szkodliwości społecznej czynu” daje im możliwość skorzystania z tego środka w każdym właściwie wypadku.

— Czy robi się coś w kierunku przywrócenia gwarancji praw oskarżonego?

— Mogę odpowiedzieć na to pytanie tylko częściowo, bo rozwiązanie tego nabrzmiałego problemu w znikomym tylko stopniu zależy od środowiska adwokackiego. Adwokatura w każdym razie proponuje dwa rozwiązania. Należałoby przede wszystkim przywrócić instytucję sędziów śledczych. Konieczne jest także stworzenie podstaw prawnych do sądowej kontroli aresztu tymczasowego już na etapie śledztwa. Trzeba bowiem dodać, że przy dzisiejszym stanie prawnym uzyskanie odszkodowania za niesłusne aresztowanie jest po prostu tylko iluzoryczne, co dodatkowo podważa gwarancje oskarżonego i nie stanowi zapory do oszczędniejszego szafowania aresztami tymczasowymi.

Nie są to sprawy nowe. Adwokaci podnosili je, bez rezultatu, na łamach „Palestry”. Niedługo także wyrażali głośno swoje wątpli-

wości na forum Zrzeszenia Prawników Polskich. Niestety, adwokatura nie jest dopuszczana do procesu tworzenia prawa i nie może się podzielić swoimi doświadczeniami z komisją legislacyjną Sejmu.

— A czy w postępowaniu przed sądem gwarancje oskarżonego doznają dostatecznej ochrony?

— Przed sądem gwarancje te w zasadzie są zachowane. Mówię w zasadzie, gdyż często odnoszę wrażenie, jakoby materiały z postępowania przygotowawczego miały wyższą wartość niż materiały zgromadzone przez sąd w toku rozprawy. Zapobiec temu mogłaby tylko pełna kontradyktoryjność od początku postępowania karnego.

— Wśród praktyków słyszałem wiele głosów, że w ostatnich latach uległa pewnym ograniczeniom także instancyjność kontroli sądowej wyroków. Wiąże się to z wprowadzeniem specjalnych opłat, które w wielu wypadkach zamkają drogę do rewizji. Czy pańskie obserwacje potwierdzają tę opinię?

— Mieliśmy przed laty system trójinstancyjny. Obecnie istnieją tylko dwie instancje, przy czym ta druga jest coraz trudniej dostępna z uwagi na wysokość i koszty opłat sądowych. Dość powiedzieć, że opłaty drugiej instancji są dwa razy wyższe niż pierwszej. Nawet posiadając słusznego adwokata rezygnuje często z wniesienia środka odwoławczego z uwagi na zbyt wielkie ryzyko kosztów. Sprawiedliwość staje się drogą dla biednych. Jednocześnie zwiększa się czysty zysk państwa z sądownictwa powszechnego. W roku 1975 wyniósł on 619 mln zł z nadwyżką, w roku 1980 ponad 1 mld 459 mln zł. W ten sposób ulega też ograniczeniu kontrola instancyjna, co jest o tyle niebezpieczne, że może prowadzić do utwierdzenia sądu, który nawet orzeka błędnie, w przekonaniu o prawidłowości orzeczeń.

Możemy się pocieszyć, że nasze prawo zna instytucję rewizji nadzwyczajnej, do wniesienia której uprawniony jest i prezes Sądu Najwyższego, prokurator generalny i minister sprawiedliwości. To jest ten wentyl bezpieczeństwa, który można uruchomić w razie rażącej pomyłki sądowej po uprawomocnieniu się wyroku. Jestem adwokatem już dwadzieścia lat, wielokrotnie zwracałem się do tych organów o rewizję nadzwyczajną w sprawach moich klientów, ale ani razu rewizja nie została uwzględniona. Dlatego nasze środowisko domaga się, aby adwokat mógł zwracać się bezpośrednio do Sądu Najwyższego w trybie nadzwyczajnym w przypadkach rażącego naruszenia prawa. Byłby to więc rodzaj kasacji.

— Wspomniał pan, że roszczenia z tytułu wypadków przy pracy nie mogą być rozstrzygane przez sądy, że obowiązuje w tym przypadku postępowanie administracyjne. Nie są to przecież jedynie przypadki pozasądowych rozstrzygnięć najistotniejszych spraw ludzkich, które powinny, z natury rzeczy, być poddane kontroli sądowej. Kiedy, jako adwokat, stwierdza pan s w o j a be z s i l n o ś ć ?

— Istnieje cała sfera istotnych praw obywatelskich, które w ogólnie nie mogą być rozstrzygane przez sądy. A jednocześnie obserwujemy niebezpieczne zjawisko ograniczania właściwości rzeczowej sądu. Na przykład sprawy obroty ziemią w znacznym zakresie przejęli naczelnicy gmin, a więc organ administracji. W takich sprawach państwo jest jednocześnie stroną sporu i władzą rozstrzygającą. A przecież te sprawy powinny być poddane kompetencji państwowych biur notarialnych. To samo zresztą dotyczy wspomnianych już wypadków w zatrudnieniu, gdzie państwo jest uczestnikiem sporu i władzą rozstrzygającą spór. Są to przypadki rozstrzygania wyłącznie w trybie administracyjnym z wykluczeniem drogi sądowej. Istnieje po prostu cennik, w którym para-

nie nie zkładów karnych. Nie ma podstaw, aby kwestionować legalność tej ogromnej ilości skazań, która jest rezultatem rzeczywistego naruszenia norm prawa przez wielką liczbę ludzi. Muszą natomiast zastanawiać uwarunkowania sprawujące, że tak znaczny odsetek populacji wchodzi w konflikt z prawem. I odpowiedzi nie znajdziemy mimo istnienia wielu instytucji naukowych, które badają te problemy.

A jest to chyba problem nadmiernej penalizacji naszego życia. Istnienie tego zjawiska wymaga zarówno zabiegów nowelizujących prawo, a następnie nieustannej kontroli jego funkcjonowania na wszystkich szczeblach, a także, czy może nawet przede wszystkim, skatalogowania przyczyn powstawania przestępczości i ich usuwania. Nadmierna penalizacja ma jeszcze swoje źródło w tym, iż upatruje się niesłuszenie w normach nakazujących czy zakazujących najskuteczniejszego remedium na zjawiska społeczne. Prowadzi to do absurdów. Zjawisko nieposzanowania prawa występuje już na odcinku znaków drogowych tak ustawionych, iż z góry wiadomo, że będą lekceważone. Innym przykładem jest tzw. prawo powielaczowe krepujące wszelką inicjatywę a na dodatek często sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, a nawet z przepisami wyższego rzędu. Nie dziwnego, że te przepisy są powszechnie łamane, choć dla mnie, jako dla prawnika, jest przykre oglądanie programu telewizyjnego, w którym ukazuje się drogę prowadzącą do sukcesu przez omijanie prawa. Należy więc bezzwłocznie usunąć wszystkie przepisy, które hamują drogę do wyzwalania inicjatyw.

— Zawód adwokata jest niezwykle odpowiedzialny, ale przez to atrakcyjny. W jaki sposób odbywa się rekrutacja do adwokatury?

— Do adwokatury wiedzie droga dłuższa niż do sądownictwa czy urzędu prokuratorskiego. Można bowiem zostać adwokatem po odbyciu dwuletniej aplikacji sędziowskiej lub prokuratorskiej, a następnie trzyletniej adwokackiej. Może się także starać o wpisanie na listę adwokatów sędzia lub prokurator z co najmniej trzyletnim stażem pracy lub pracownik naukowy od stopnia docenta. Mimo to liczba ubiegających się o przyjęcie jest wielokrotnie większa od możliwości przyjęcia do adwokatury.

— Może wpływa na to potoczna opinia, że adwokaci to ludzie dobrze sytuowani materialnie, mogący sobie dorobić na boku?

— Nie neguję istnienia także w naszym środowisku zjawisk patologicznych, stanowiących jednakże margines, podobnie jak w innych zawodach. Muszę jednak jednocześnie stwierdzić, że wysokie zarobki adwokatów są najczęściej mitem czy też, jeśli pan woli, legendą. Tym, co zachęca do pracy w naszym zawodzie jest rzeczywistość i pełna niezawisłość w wykonywaniu czynności zawodowych, a nado sama idea niesienia pomocy w skomplikowanych ludzkich sprawach.

Adwokaci zarabiają od sześciu do dwunastu tysięcy złotych miesięcznie, ale jest to wątpliwy ekwiwalent za godziny spędzone od rana w sądzie, po południu w zespole, zaś wieczorem przy biurku w domu, gdzie przygotowuje się najczęściej dokumenty, wisma rewizyjne, konспекty przemówień sądowych.

— A zdobywanie dowodów odciążających, których nie uzyskała czy też nie chciała uzyskać prokuratura?

— W tym nawale obowiązków praktycznie nie mamy możliwości samodzielnego poszukiwania dowodów. Z drugiej zaś strony adwokat nie może być przecież detektywem. Możemy zdobywać dowody wyłącznie drogą wniosków składanych w sądzie lub prokuraturze.

— Wspomniał pan o niezawisłości zawodu adwokackiego. A jak funkcjonuje wasz samorząd?

— Adwokaci tworzą samorząd, którego władze wybierane są w drodze wyborów pośrednich. Obecny system wyborczy ma swoje oparcie w ustawie o ustroju adwokatury oraz regulaminie uchwalonym przez Naczelną Radę Adwokacką, która jest najwyższym organem samorządu. Postulujemy wybory bezpośrednie w Izbach. Postulujemy także, aby najwyższą władzą adwokatury stał się Krajowy Zjazd.

— Wiadomo mi z prasy, że taki zjazd odbędzie się w początku stycznia w Poznaniu. Czego spodziewa się środowisko po tym zjeździe? Czego chcą adwokaci w sprawach dotyczących bezpośrednio ich profesji i w sprawach ogólnospołecznych?

— Spodziewamy się, że po latach lekceważenia naszych postulatów, głos naszego środowiska stanie się wreszcie słyszalny w tym związku sprawach, które dotyczą ogólnonarodowego dobra. W naszym głosie zawiera się przecież będzie suma wiedzy o życiu, którą w jego interesie chcemy ofiarować społeczeństwu. Właśnie w poczuciu naszej dotychczasowej bezsilności Prezydium Naczelnej Rady Adwokackiej skierowało w dn. 6.IX. ub. r. obszerny memoriał na ręce I sekretarza KC PZPR, w którym przedstawiłmy wszystkie nasze najważniejsze problemy. Sądzimy, że na zjeździe ogół adwokatury wypowie się w palących sprawach publicznych. Porządek obrad będzie wykraczał poza wąsko profesjonalne problemy środowiska.

— A które z tych problemów uważa pan za najważniejsze?

— Katalog tych spraw jest bardzo obszerny. Zawiera się w nim rola Sejmu i organów przedstawicielskich, sprawa własności ziemi, osobowości prawnej Kościoła, ustawa o cenzurze. Wymieniam je tylko przykładowo.

Chcemy także podjąć uchwały, które zagwarantują pełną samorządność naszego zawodu. Leży to bowiem nie tylko w interesie adwokatury, lecz przede wszystkim porządku prawnego w Polsce.

Rozmawiał:
KONRAD FREIDLICH

P.S. Wywiad z drem Eugeniuszem Sindlewskim przeprowadzony był wcześniej. Zjazd, o którym mowa wyżej, przed kilkoma dniami zakończył obrady w Poznaniu.

CZEGO CHCĄ ADWOKACI?

(rozmowa z dr Eugeniuszem Sindlewskim)

— Nie wiem, co mówi na ten temat rucznik GUS, ale prof. Kazimierz Buchała w nr 4 „Państwa i Prawa” określa liczbę osadzonych w zakładach karnych na 107 tys. osób w ostatnim roku. Obawiałbym się prostego pomnożenia tej liczby przez 35 lat, a następnie jeszcze przez 3 bo taki jest model polskiej rodziny, choć byłby to pewnie przybliżony wynik wskaźujący na rozmiary zjawiska. Poważna część narodu styka się z działaniem prawa poprzez ist-

nienie zkładów karnych. Nie ma podstaw, aby kwestionować legalność tej ogromnej ilości skazań, która jest rezultatem rzeczywistego naruszenia norm prawa przez wielką liczbę ludzi. Muszą natomiast zastanawiać uwarunkowania sprawujące, że tak znaczny odsetek populacji wchodzi w konflikt z prawem. I odpowiedzi nie znajdziemy mimo istnienia wielu instytucji naukowych, które badają te problemy.

A jest to chyba problem nadmiernej penalizacji naszego życia. Istnienie tego zjawiska wymaga zarówno zabiegów nowelizujących prawo, a następnie nieustannej kontroli jego funkcjonowania na wszystkich szczeblach, a także, czy może nawet przede wszystkim, skatalogowania przyczyn powstawania przestępczości i ich usuwania. Nadmierna penalizacja ma jeszcze swoje źródło w tym, iż upatruje się niesłuszenie w normach nakazujących czy zakazujących najskuteczniejszego remedium na zjawiska społeczne. Prowadzi to do absurdów. Zjawisko nieposzanowania prawa występuje już na odcinku znaków drogowych tak ustawionych, iż z góry wiadomo, że będą lekceważone. Innym przykładem jest tzw. prawo powielaczowe krepujące wszelką inicjatywę a na dodatek często sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, a nawet z przepisami wyższego rzędu. Nie dziwnego, że te przepisy są powszechnie łamane, choć dla mnie, jako dla prawnika, jest przykre oglądanie programu telewizyjnego, w którym ukazuje się drogę prowadzącą do sukcesu przez omijanie prawa. Należy więc bezzwłocznie usunąć wszystkie przepisy, które hamują drogę do wyzwalania inicjatyw.

— Zawód adwokata jest niezwykle odpowiedzialny, ale przez to atrakcyjny. W jaki sposób odbywa się rekrutacja do adwokatury?

— Do adwokatury wiedzie droga dłuższa niż do sądownictwa czy urzędu prokuratorskiego. Można bowiem zostać adwokatem po odbyciu dwuletniej aplikacji sędziowskiej lub prokuratorskiej, a następnie trzyletniej adwokackiej. Może się także starać o wpisanie na listę adwokatów sędzia lub prokurator z co najmniej trzyletnim stażem pracy lub pracownik naukowy od stopnia docenta. Mimo to liczba ubiegających się o przyjęcie jest wielokrotnie większa od możliwości przyjęcia do adwokatury.

— Może wpływa na to potoczna opinia, że adwokaci to ludzie dobrze sytuowani materialnie, mogący sobie dorobić na boku?

— Nie neguję istnienia także w naszym środowisku zjawisk patologicznych, stanowiących jednakże margines, podobnie jak w innych zawodach. Muszę jednak jednocześnie stwierdzić, że wysokie zarobki adwokatów są najczęściej mitem czy też, jeśli pan woli, legendą. Tym, co zachęca do pracy w naszym zawodzie jest rzeczywistość i pełna niezawisłość w wykonywaniu czynności zawodowych, a nado sama idea niesienia pomocy w skomplikowanych ludzkich sprawach.

Adwokaci zarabiają od sześciu do dwunastu tysięcy złotych miesięcznie, ale jest to wątpliwy ekwiwalent za godziny spędzone od rana w sądzie, po południu w zespole, zaś wieczorem przy biurku w domu, gdzie przygotowuje się najczęściej dokumenty, wisma rewizyjne, konспекty przemówień sądowych.

— A zdobywanie dowodów odciążających, których nie uzyskała czy też nie chciała uzyskać prokuratura?

— W tym nawale obowiązków praktycznie nie mamy możliwości samodzielnego poszukiwania dowodów. Z drugiej zaś strony adwokat nie może być przecież detektywem. Możemy zdobywać dowody wyłącznie drogą wniosków składanych w sądzie lub prokuraturze.

— Wspomniał pan o niezawisłości zawodu adwokackiego. A jak funkcjonuje wasz samorząd?

— Adwokaci tworzą samorząd, którego władze wybierane są w drodze wyborów pośrednich. Obecny system wyborczy ma swoje oparcie w ustawie o ustroju adwokatury oraz regulaminie uchwalonym przez Naczelną Radę Adwokacką, która jest najwyższym organem samorządu. Postulujemy wybory bezpośrednie w Izbach. Postulujemy także, aby najwyższą władzą adwokatury stał się Krajowy Zjazd.

— Wiadomo mi z prasy, że taki zjazd odbędzie się w początku stycznia w Poznaniu. Czego spodziewa się środowisko po tym zjeździe? Czego chcą adwokaci w sprawach dotyczących bezpośrednio ich profesji i w sprawach ogólnospołecznych?

— Spodziewamy się, że po latach lekceważenia naszych postulatów, głos naszego środowiska stanie się wreszcie słyszalny w tym związku sprawach, które dotyczą ogólnonarodowego dobra. W naszym głosie zawiera się przecież będzie suma wiedzy o życiu, którą w jego interesie chcemy ofiarować społeczeństwu. Właśnie w poczuciu naszej dotychczasowej bezsilności Prezydium Naczelnej Rady Adwokackiej skierowało w dn. 6.IX. ub. r. obszerny memoriał na ręce I sekretarza KC PZPR, w którym przedstawiłmy wszystkie nasze najważniejsze problemy. Sądzimy, że na zjeździe ogół adwokatury wypowie się w palących sprawach publicznych. Porządek obrad będzie wykraczał poza wąsko profesjonalne problemy środowiska.

— A które z tych problemów uważa pan za najważniejsze?

— Katalog tych spraw jest bardzo obszerny. Zawiera się w nim rola Sejmu i organów przedstawicielskich, sprawa własności ziemi, osobowości prawnej Kościoła, ustawa o cenzurze. Wymieniam je tylko przykładowo.

Chcemy także podjąć uchwały, które zagwarantują pełną samorządność naszego zawodu. Leży to bowiem nie tylko w interesie adwokatury, lecz przede wszystkim porządku prawnego w Polsce.

— Wspomniał pan, że oskarżony czuje się w procesie osaczony. Czy znaczy to, że zagwaran-

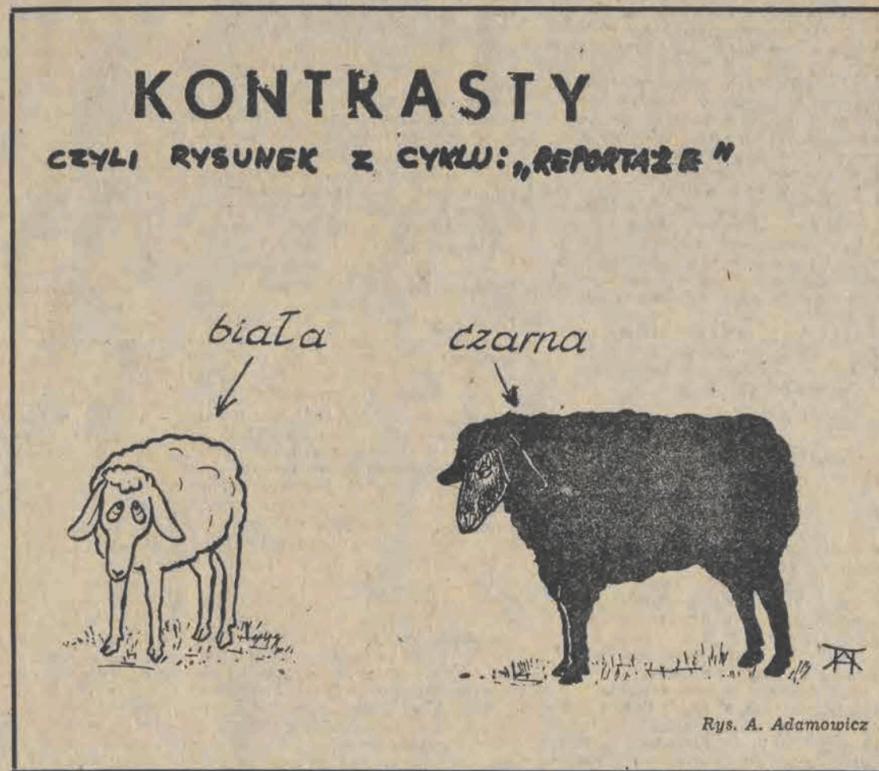
towana przez prawo równość stron nie jest rzeczywistą równością?

— Równość stron jest tylko pozorna. Po prostu uprawnienia prokuratora są wyższe niż oskarżonego i jego obrońcy. Prokurator jest dziś władcą całego postępowania przygotowawczego. Od jego wyłącznej woli zależy dopuszczenie obrońcy do tej fazy postępowania, zezwolenia na widzenie się z oskarżonym, a nawet tylko zapoznanie się z aktami sprawy. W tych warunkach gwarancje praw oskarżonego są często tylko pustą deklaracją, tym bardziej, że prokuratorzy korzystają niemal zawsze ze środka zapobiegającego uchylaniu się przed wymiarem sprawiedliwości, w postaci aresztu tymczasowego. Nieostre pojęcie „szkodliwości społecznej czynu” daje im możliwość skorzystania z tego środka w każdym właściwie wypadku.

— Czy robi się coś w kierunku przywrócenia gwarancji praw oskarżonego?

— Mogę odpowiedzieć na to pytanie tylko częściowo, bo rozwiązanie tego nabrzmiałego problemu w znikomym tylko stopniu zależy od środowiska adwokackiego. Adwokatura w każdym razie proponuje dwa rozwiązania. Należałoby przede wszystkim przywrócić instytucję sędziów śledczych. Konieczne jest także stworzenie podstaw prawnych do sądowej kontroli aresztu tymczasowego już na etapie śledztwa. Trzeba bowiem dodać, że przy dzisiejszym stanie prawnym uzyskanie odszkodowania za niesłusne aresztowanie jest po prostu tylko iluzoryczne, co dodatkowo podważa gwarancje oskarżonego i nie stanowi zapory do oszczędniejszego szafowania aresztami tymczasowymi.

Nie są to sprawy nowe. Adwokaci podnosili je, bez rezultatu, na łamach „Palestry”. Niedługo także wyrażali głośno swoje wątpli-



Dalszy ciąg ze str. 1

żali już na stosie. Każdego roku przybywało parę tysięcy książek. W 1980 roku magazyn zaprojektowany na 10 tysięcy, mieścił 2,5 raza więcej. Nad biblioteką zawisła groźba ograniczenia zakupów nowości, zaprzestania dotychczasowej prenumeraty pism (wciąż zwlekano z ich oprawieniem) i oddania wielu dubletów, a także niechodliwych bądź starych, zużytych książek na makulaturę. Gdyby jakiś czas można było je przechować, przynajmniej część z nich dałoby się z pewnością wymienić. Są takie placówki, które wzięłyby je chętnie.

Jeszcze trochę, a bibliotekarzom nie pozostałoby nic innego, jak zamknąć czytelnię i zmagazynować tam część zbiorów. Bez nowości i kompletów czasopism trudno sobie wyobrazić pracę biblioteki. Najgorsze to stracić czytelnika.

Ale w październiku 1980 roku remont skończył się (po pięciu latach) i poradnia opuściła mieszkanie na parterze. Niby nic nie stało na przeszkodzie, aby zacząć tu przenosić książki. A jednak minął miesiąc, drugi, mieszkanie stało puste. W początkach grudnia naczelnik miasta i gminy Poddebice, Arkadiusz Galoch, zażądał klucza od opuszczonych pomieszczeń, informując przy tym, że zamierza wprowadzić do nich Oddział Wojewódzkiego Biura Geodezji i Terenów Rolnych — na całe dwa lata.

Rzeczywiście: dotąd wszystko wygląda prosto. Jak w bajce o „złym naczelniku” i „dobrym dyrektorze”. Ale coś zamąca i psuje piękny, czarno-biały obraz. Coś się nie zgadza w bajkowym schemacie.

Bo oto — skończywszy żale — bibliotekarze... chwają naczelnika! „Naczelnik jest za sprawami kultury” — notuje ze zdumieniem. Blizsze szczegóły? Proszę barzo.

Zarówno naczelnik, jak i I sekretarz KM-G PZPR, Jan Malinowski, od lat związani są z tym miastem, znają jego problemy. W dodatku dyr. Józwiak powiada o nich: „Zgrany duet”. „Arkadiusz Galoch pracuje w Poddebicach od 1956 roku (pochodzi w ogóle z tej samej wsi co dyrektor biblioteki), naczelnikiem jest od 1976. I sekretarz był poprzednio sekretarzem organizacyjnym „w powiecie”. Choć proponowano mu przejście do KW, do Sieradza, pozostał w Poddebicach. — Chciałem bliżej związać się ze środowiskiem — powie mi później.

O obu działaczach panuje opinia, że nie przywieziono ich w tecze, że są dobrymi gospodarzami. — Jeszcze przed odnową stosowali metody, które się dziś zaleca — mówi Kazimierz Józwiak — Rozmawiali z ludźmi, a nie komenderowali zza biurka...

Ciekawe: te pochwały wygłasza krzywdzony przecież dyrektor biblioteki! Ale jego opinie potwierdzają inni. Inni wyraźnie usprawiedliwiają naczelnika...

— Trzeba go zrozumieć — słyszę — Miejski geodeta siedzi na strychu, gdzie przechowuje całą dokumentację miasta: plany, mapy... Odkąd Urząd Powiatowy przekształcono w szpital, władza rozrzucona jest w dziesięciu punktach miasta. Trwa co prawda budowa „domu socjalnego” — z przeznaczeniem między innymi na urzędy — ale odbywa się to czynnymi społecznymi i nieprędko się skończy...

— Do tej pory naczelnik pomagał nam jak mógł — notuję dalej — Na przykład w filii biblioteki w Pradze (to wieś 2 km za Poddebicami), gdy wilgoć zaczęła dobrać się do książek, naczelnik polecił sotsytowi wyszukać lepsze pomieszczenie. I dopilnował tego! Bibliotekarze mieli już w zanadrzu następną sprawę: przeniesienie filii z Ciężkowca na Tarnowa... Ale czy teraz naczelnik również będzie chciał pomóc, czy konflikt nie pogorszy stosunków?

Zdaniem moich rozmówców, wina nie leży w intencjach władzy. Intencje są dobre. W ten sposób załamuje się klasyczna linia konfliktu. Ani władza nie jest taka „ślepa i bezduszna”, ani dyrektor — bezradny...

Gdzie więc tkwi sedno? — Nie wiem dlaczego, ale jak powstaje kwestia wyboru, to u nas zawsze wybiera się kosztom kultury. Nas, jej pracowników denerwuje to, że choćby na kulturę szło najmniej to i tak każdy chce jej jeszcze uszczknąć...

Tak określa ten mechanizm wicedyrektor Wojewódzkiej Biblioteki w Sieradzu — Kazimierz Sobczak. Czy ma rację?

2

Naczelnika i sekretarza zastają w skromnym budynku naprzeciw kina „Przyszłość”. Mieści się tu Komitet i... Urząd Stanu Cywilnego.

— Tyle lat pracuję w administracji, nie mógłbym palnąć takiego głupstwa, nawet w zdenerwowaniu — zapewnia mnie naczelnik, gdy pytam go czy groził Józwiakowi zwolnieniem. A gdy przedstawiam argumenty „o obronie biblioteki”, robi „duże oczy”.

— O jakiej ciastocie pan mówi? Bo ja pierwszy raz słyszę!

I kładzie na stole dwa pisma. W pierwszym, z datą 2 lipca i podpisanym przez dyrektora Wydziału Kultury UW w Sieradzu czytamy: „W związku z trudną sytuacją mieszkaniową i finansową instruktora WBP



Foto: T. Soldenhoff

w Sieradzu ob. Bogumiła Józwiaka, zamieszkałego obecnie czasowo w Sworowie, gm. Poddebice, i obsługującego teren przyległy do terenu miasta i gminy Poddebice, proszę Naczelnika o okresowe udostępnienie w/w mieszkania służbowego znajdującego się w budynku Miejskiej i Gminnej Biblioteki Publicznej w Poddebicach”.

Uderza mnie zbieżność nazwisk... — Tak, chodzi o bratanek dyrektora — potwierdza naczelnik który podpisał drugi list (datowany 24 lipca). Odmawia w nim prośbę dyrektora Wydziału Kultury. Stwierdza krótko, że po wyprowadzeniu się poradni, lokal w bibliotece zostanie przydzielony Lidze Kobiet i Zarządowi ZBoWiD.

— Tak planowaliśmy pierwotnie — wyjaśnia I sekretarz. I on twierdzi, że o trudnych warunkach w bibliotece nikt z nim nie rozmawiał. Ani władze sieradzkie, ani dyr. Józwiak.

wymowy, jeśli uświadomił się codziennie bolączki Poddebic. O trudnej sytuacji lokalowej urzędów była mowa. Naczelnik: — Jak się zapali dach u geodety, to ja pójdę siedzieć... — Wspomnijmy i o mieszkaniach, na które czeka obecnie 680 rodzin.

— To, cośmy w Poddebicach osiągnęli, to w większości w ramach czynów społecznych — opowiada naczelnik — Ale był ku temu klimat ze strony władz i zaangażowanie społeczeństwa. Zmodernizowaliśmy szereg dróg i ulic. Inicjowaliśmy czynny społeczny (wartości 15 mln zł rocznie). W ciągu roku ludność wybudowała dla siebie trzy baseny, w tym jeden o wymiarach olimpijskich. Siedem tygodni trwała budowa miasteczka w celu drogowego. Mieszkańcy urzędni boiska, brali udział w zagospodarowaniu parku wokół pałacu. Dwukrotnie w 1975 i 76 roku — zajmowaliśmy miejsce w czółowce konkursu „Mistrz gospodarności”...

mieszkania gospodarze i dla pracowników. Jest niezła sala koncertowa z estradą i 130 miejscami. Jest foyer, z którym nie wiadomo co zrobić, więc urządza się tu dwa razy w tygodniu „dyskotekę na marmurze”...

Inną część pałacu zajęły: zarząd ZSMP i Społeczne Ognisko Muzyczne. Umieszczono w tym budynku również klub książki i prasy... — Ja zawsze walczyłem o to, żeby był tu wyłącznie dom kultury — mówi dyrektor PDK Jan Urbańczyk, nieco rozżalony, ale chyba już pogodzony z obecnością organizacji politycznych i harcerzy, którzy n.b. dotąd jeszcze nie zagospodarowali przeznaczonych dla nich piwnic.

Troska władz miasta o przyspieszenie remontu — jeśli była autentyczna (co prawda słyszałem i takie zdanie: „Gdyby zaangażowanie było rzeczywiste, remont skończono by w ciągu 3 lat!...”), nie była na pewno

Bajka o dobrym dyrektorze i złym naczelniku (BEZ HAPPY ENDU)

Mowa była tylko o mieszkaniu dla Bogumiła Józwiaka.

— Jak to było możliwe? — spytałem później dyr. Józwiaka.

— Naczelnik wiedział — odpowie mi. — Nieraz mu o ciastocie mówiłem. Tylko że nigdy nie sformułowałem tego na piśmie. I zrobiłem błąd. Sądziłem, że się z nim dogadam. Tak było dotąd zawsze.

— Czy wiedział pan o staraniach bratanika?

— Tak, ale nigdy nie rozmawiałem na ten temat z naczelnikiem. Nie chciałem mieszać się do tej sprawy. Może mi pan wierzyć albo nie — kończy zdenerwowany dyrektor.

Naczelnik Galoch: — Dyrektor Józwiak jest człowiekiem skromnym, uważanym w naszym środowisku, z jego zdaniem się liczymy. Jest wiceprzewodniczącym Rady Narodowej. Od 1978 roku uczestniczy w przygotowywaniu różnych planów, dokumentów. Dlaczego więc ani razu nie wspomniał o trudnych warunkach biblioteki? Gdyby dyrektor dał choć ustny program w tym zakresie, a dyrektor WBP w Sieradzu zwrócił się do nas z odpowiednią propozycją, nie byłby potrzebny przyjazd pana redaktora. Nie byłoby problemu.

— Nikt z nas nie chce uszczuplić bazy czytelnictwa — zastrzega się naczelnik — Jesteśmy blisko kultury. Dbamy, aby się nam w Poddebicach rozwijała. Gdybyśmy myśleli inaczej, wprowadzilibyśmy na przykład do pałacu USC. A byłyby takie naczelniki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu...

Podobnych deklaracji jest w naszej rozmowie więcej. Obaj przedstawiciele władzy cieszą się dobrym samopoczuciem. Potrafią brnąć się, choć może trochę za dużo w tym samouchwalstwa... Ale czy lepsza byłaby fałszywa skromność? No, bo jeśli autentycznie jest się czym pochwalic...

Potwierdzają się wcześniejsze fakty, opinie. To, że obaj działacze włożyli dużo starań w remont zabytku, bał, wykorzystywali ponoc nawet osobiste kontakty, by tylko przyspieszyć budowę. To, że po oddaniu obiektu stali się posiadaczami srebrnych odznak „Za zasługi dla ochrony zabytków”. I to wreszcie, że za swe działania otrzymali u progu roku kulturalnego list pochwalny wojewody... Ta — dość niecodzienna jak na gminy szczebel — troska o kulturę nabiera większej

Odnowę przyjęto w Poddebicach ze spokojem. Podobno wręcz zadziwił on przyjeżdżających agitatorów W najbardziej znanym poddebickim zakładzie — filii łódzkiego „Próchnika” (kurtki i płaszcze do krajów zachodnich) odnowiono jedynie starą radę zakładową. A „Solidarność” ze Spół. Inwalidów „Poddebiczanka” (juniorki i o buwie profilaktyczne) przestała wręcz do Komitetu list z zapewnieniem o poparciu dla uchwał VI i VII Plenum. W liście tym znalazł się nawet znamienity cytat (z rodzimego poety): „Dla wszystkich ludzi niech jamo słonce świeci dla wszystkich niech kwitnie wonny bez dość było już nieść się w świecie nie chcemy wojen i łez” (cytuje za oryginałem)...

W Poddebicach nikogo nie wywieziono na łacze. Burza przeszła dookoła, gdzieś nad Sieradzem (tam wywołano). Stara władza utrzymała się i teraz zwróciła się do dziennikarstwa.

— My tu mamy zupełnie czyste sumienie. Bo za darmo nikt nie brał pieniędzy. Często rodzinie się zaniębiało, ani ja, ani sekretarz zeszły się tu nie dorobili. Ja zarabiam mniej niż wiceprezes spółdzielni, a odowiedzialność mam większą. Gdy przeszła odnowa, nas ludzie nie atakowali. No, może poza paroma indywidualnymi drobiazgami. Jak ja i ten zajął nielegalnie garaż i ja mu go odebrałem, to potem „odegrał się” — rozniósł, że naczelnik z sekretarzem wyjechali w stronę dolarową... Ale my o promesy wcale nie starał się. To była nagroda za zainicjowanie czynów...

I tak dalej, i w tym stylu. Wyidealizowany obraz władz pochylnych troskliwie nad swym miasteczkiem, czułych mecenasów kultury, zakłóci dopiero wizyta w pałacu.

Okaże się bowiem, że Poddebicki Dom Kultury nie jest jedynym lokatorem budynku. Dwie duże sale zajął Ośrodek Kształcenia Ideologicznego KM-G. W pierwszej, liczącej ok. 40 metrów, pracuje tylko jeden człowiek — kierownik ośrodka (do piętnastej). W drugiej, jeszcze większej sali (ok. 65 metrów kwadratowych), wyposażonej w krzesła i sprzęt audiowizualny, odbywają się szkolenia, ale tylko w środy. W pozostałe dni sala stoi zamknięta. Tymczasem nie mają gdzie ćwiczyć trzy zespoły taneczne skupione w Domu Kultury.

Poza tym jest jeszcze w pałacu salon Biura Wystaw Artystycznych, po-

bezinteresowna. Na remoncie pałacu skorzystały różne organizacje. Zapchano parę drzwi.

Czyżby jednak „zapychanie” stało się już metodą, rzucającą brzydkie cienie na świetlistą postawę poddebickich władz wobec spraw kultury? Takiego zdania jest chyba Adam Fudała — dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Sieradzu, trzecia zainteresowana strona w tej sprawie.

— Mam prawo wymagać od władz miasta i gminy, żeby miały większe zrozumienie dla spraw kultury — twierdzi on — tym barziej, że wszyscy widzimy ich w kategorii działaczy kultury. Swoją ostatnią decyzją naczelnik zaprzeczył postawie takiego działacza. Uważam, że idzie po linii najmniejszego oporu, że gdyby chciał, znalazłby w Poddebicach pokój dla geodety, poza biblioteką. Ja oczywiście rozumiem jego sytuację lokalową, ale czy naprawdę wykorzystal wszystkie możliwości? Bo to, co robi, jest lataniem dziur w innych wycinkach życia, kosztem instytucji kultury...

Dyrektor Fudała jest tą stroną, w której — zdaniem sekretarza i naczelnika — ciąży odpowiedzialność za zaognienie konfliktu. Naczelnik dziwi się:

— Skoro sytuacja w bibliotece była tak zła, to dlaczego dyrektor Fudała jeszcze w lipcu starał się o mieszkanie dla swego pracownika, a sprawę przeznaczenia pomieszczeń na magazyn poruszył dopiero wtedy, gdy otrzymał odmowę?

Wyglądałoby na to, że dyrektor coś przepisał, albo nie dopatrywał, i teraz próbuje nadgonić to, nie kryjąc swej złości i chęci „odegrania się” na władzach Poddebic. Tak przynajmniej twierdzą one. Bo dyr. Fudała odrzuca te argumenty. Odmowa przyznania mieszkania dla instruktora Józwiaka nie mogła go zabolet (jak uważa naczelnik), bo od początku, tj. maja 1979 roku był zaangażowany w starania o mieszkanie na terenie Sieradza. Z propozycją wprowadzenia się na parę miesięcy do bibliotecznego mieszkania przyszedł do dyrektora sam młody Józwiak. — Nie jeździłem w tej sprawie do naczelnika, nie naciskałem — mówi Adam Fudała — byłem zainteresowany lokalem dla Józwiaka w Sieradzu.

Nie da się jednak ukryć — akcentuje to Bogumił Józwiak — że miałby on większe szanse na uzyskanie mieszkania w bibliotece, gdyby nie de-

centralizacja zarządzania bibliotekami rejonowymi, wprowadzona od stycznia 1980 r. Wówczas również biblioteka w Poddebicach przestała być częścią WBP. Obecnie opiekę merytoryczną sprawuje nad nią WBP, ale administruje naczelnik miasta. Zapewne z tego powodu ma on — w swym przekonaniu — większe prawo do decydowania o lokalach znajdujących się w bibliotece mieszkania. Dyr. Fudała uważa takie rozumowanie za absurdalne.

— Inna rzecz, gdyby pomieszczenia znajdowały się poza budynkiem biblioteki. Ale mieszkanie jest organicznie związane z obiektem i musi służyć bibliotece. Była ona budowana jako miejska i powiatowa, obsługująca kilka gmin, jako regionalna. I owinna więc spełnić funkcję regionalnej składnicy książek.

Dla dyr. Fudały przywrócenie lokalu bibliotece jest czymś naturalnym, niezależnie od administratora. I nie może być mowy o chęci „odegrania się” za utracone kompetencje (zresztą, dyr. Fudała, jako autor decentralizacji, odebrał je sobie sam). Odmowa przyznania mieszkania, która tak podnosi naczelnik, nie jest kością niezgody. Bogumiłowi Józwiakowi obiecano już mieszkanie zastępcze w Sieradzu. Czy więc rzeczywiście dyr. Fudała się uprzydlił? Czy powoduje się złością? Czy chodzi mu tylko o chęć „pokazania” tym w Poddebicach? Dyrektor wprowadzi nie ukrywa gniewu...

O decyzji przyznania pomieszczeń geodecie dowiedziałem się przypadkowo — mówi. — Gdy w końcu października byłem w Poddebicach na inauguracji roku kulturalnego, o geodecie w ogóle nie było mowy. I o tym co prawda mówił o ZBoWiD, ale nie dowiedziałem, by mógł zdać to egzamin, by zaakceptowała to społeczeństwo. Przez ZBoWiD nie urzęduje, tylko zbiera się co jakiś czas. W końcu listopada dyr. Urbańczyk powiedział mi w rozmowie telefonicznej — zupełnie przypadkowo — że wyprzedził się już z biblioteki i zwrócił klucze naczelnikowi, na jego żądanie. Usłyszałem, że naczelnik grozi dyrektorowi zwolnieniem w razie niezwrócenia klucza... Coś we mnie zaurzało...

Jest faktem, że naczelnik podjął swą decyzję bez jakiegokolwiek konsultacji, nawet z dyrektorem Józwiakiem. Czyżby nie chciał dostarczać sobie ewentualnych kontrargumentów? Czyżby obawiał się, że tym razem dyrektor biblioteki bardziej zdecydowanie postawi kwestię klasnoty?

3

Mija trzeci miesiąc od opuszczenia lokalu przez ośrodek kultury, a gminny kontredans trwa... Naczelnik utrzymuje, że dyrektora Fudałę zraniła od niego odmowa w sprawie przydziału mieszkania B. Józwiakowi. Dyrektor twierdzi, że naczelnika uraził fakt gwałtownego sprzeciwu wobec arbitralnej decyzji wprowadzenia geodety. Strony pomawiają się wzajemnie o uleganie emocjom, osobistym ambicjom...

A tymczasem nie byłoby sprawy, gdyby... Gdyby wcześniej dyrektor Józwiak wykazał więcej energii w uświadomianiu naczelnikowi potrzeb biblioteki i swemu zaniepokojeniu dał wyraz na piśmie... Gdyby naczelnik — z drugiej strony — bardziej na co dzień i bardziej... szczerze interesował się życiem biblioteki... Gdyby — wreszcie — dyrektor Fudała wykazał więcej czujności i dowiedział się w lipcu o projektach wprowadzenia ZBoWiD do biblioteki, wyprzedził dalsze kroki naczelnika — Gdyby...

W najmniej przyjemnym położeniu znalazł się dyrektor biblioteki. Kazimierzowi Józwiakowi trudno zadecydować. Można zrozumieć jego zakłopotanie i przynębnienie.

Gdy nad jego głową krąży pisemka i epitety, on musi służyć i będzie służył zawsze dwóm panom. Jednemu w odległej stolicy województwa, drugiemu — na miejscu... Tutaj naprawdę trzeba talentu dyplomaty.

Naczelnik pokazuje mi list dyrektora Wydziału Kultury z Sieradza w którym ten prosi go o zrewidowanie decyzji. Dyrektor wydziału odwołuje się przy tym do „zaangażowania i zrozumienia Obywatela Naczelnika dla rozwoju kultury”. W zakończeniu przypomina mu jednak o elementarnej zasadzie, że wszystkie obiekty kultury powinny być przeznaczone wyłącznie dla jej potrzeb i że trzeba jednak zasięgać zawsze opinii fachowców, czyli wydziału...

— Ja w zasadzie bromię swych decyzji — mówi naczelnik — i rzadko mi ktoś je uchyla. Ale jeśli dojdzie do wniosku, że podjąłem niewłaściwą decyzję, to wycofam ją... Takie stwierdzenie — w obecności dziennikarza — nie jest wprawdzie jeszcze cofnięciem decyzji, ale brzmie w nim chęć pojednania. Z drugiej strony dyr. Józwiak pokazuje mi Józki z osobnym wejściem w swej bibliotece, gdzie ostatecznie mogłyby przez dwa lata przechować geodetę. Po prostu ścięłoby się biurka...

Trudno więc kogokolwiek podejrzewać o złą wolę. Ale czekanie na kompromis trwa. Od trzech miesięcy lokal stoi pusty. Bardzo powoli dojrzała się do pojednania.

TOMASZ SOLDENHOFF



Foto: R. Lucyszyn

W listopadzie ub. r. odwiedził Łódź rumuński poeta IOANID ROMANESCU. Jego wizyta była kontynuacją tradycyjnych wędrow jakże łączą nasz tygodnik z miesięcznikiem literackim „Convorbiri Literare” wychodzącym w stolicy Moldawii, Jassach.

Ioanid Romanescu jest poetą zajmującym wysokie miejsce wśród pisarzy swojego kraju. To o nim napisał Marian Popa (autor „Historii Literatury Rumuńskiej”), dziś czołowy krytyk literacki: „Gdybym miał stać się współczesnym poetą, to jedynie, co zmieniłoby ten przymus w radość, to możliwość wcielenia się w Ioanida Romanescu”. Jeśli nawet dopuścimy w tym stwierdzeniu odrobinę kurtuazji, pozostanie wszakże świadomością, że poezja Romanescu jest w życiu Rumunii czymś ważnym i niebanalnym.

Ioanid Romanescu urodził się w 1937 r. w moldawskiej wsi Voinesti. Podobnie jak jego rówieśnicy przeżył wojnę, trudne lata po wyzwoleniu, niełatwą młodość. Życie go nie rozpieszczało, mimo to ukończył szkołę średnią, potem wydział filologiczny uniwersytetu w Jassach. Imał się wielu zajęć: pracował jako korektor, był wykładowcą literatury rumuńskiej, dyrektorem domu kultury, wizytatorem d/s muzyki, redaktorem czasopisma „Ateneum” a obecnie w „Convorbiri Literare” — prowadzi dział poezji.

Debiutował w 1961 r., a pięć lat później wydał swoją pierwszą książkę. O jego pracowitości i talentie świadczy zbiory jego poezji, prozy oraz przekłady. Dotychczas ukazały się: „Samotność we dwoje”, „Cisnienie światła”, „Aberacja chromatyczne”, „Favor” — nagroda Związku Literatów Rumuńskich, „Laźnia w chmurach”, „Poeta obrzymów”, „Lawa”, „Raj”, „Energia snu” — nagroda Zw. Lit. Rum., „Dzika róża”, „Północ przedmiotów”. W druku znajdują się kolejne dwie pozycje: „Akcenty” i „Magia”. Jest autorem trzech sztuk tea-

tralnych, paru antologii z dokonanych przez siebie przekładów z greckiego, francuskiego, rosyjskiego i hiszpańskiego. Zamierza — jak wyznał — korzystając z przekładu filologicznego przygotować obszerną antologię polskich poetów współczesnych. Wiersze Ioanida Romanescu były tłumaczone w dziesięciu krajach Europy i Ameryki.

Spędziłem z Ioanidem Romanescu kilka dni, miałem okazję rozmawiać z nim o poezji, poetach i o jego związkach z naszym krajem. Na pytanie, czym jest dla niego poezja i jak oceniał nasz dorobek w tej dziedzinie, odpowiedział:

— Novais nazwał poezję „rzeczywistością absolutną”. A sto lat temu Alfred de Vigny w swoim dzienniku napisał, że „poezja to entuzjazm skryzystalizowany”. Osobiście jestem bliższy definicji Novalisa. U nas, w Rumunii, ukuto ostatnio następujące określenie dla ludzi piszących wiersze: dusza spragniona realizmu! Jest w tym wiele prawdy, gdyż jesteśmy dziś bliżsi współczesności niżli historii.

Czym jest sama poezja? Czym jest poezja dla poetów? Na te pytania może być tyle odpowiedzi ilu będzie odpowiadających. Natomiast czym ja byłbym, gdybym nie został poetą? Takiej alternatywy nie było w moim życiu, bowiem poprzez poezję najłatwiej jest mi wyrazić siebie i otaczać ją światem. I chociaż na początku mej drogi twórczej zajmowałem się prozą, jednak dość szybko przekonałem się, że mój temperament jest bliższy poezji, gdyż jest to wypowiedź bezpośrednia, szybka, natychmiastowa.

A co do moich związków z Polską, to są one wieloletnie i wcale nie przypadkowe. W moim życiu nieposiednią rolę odgrywały i nadal odgrywają, kobiety. Moja pierwsza miłość nazywała się Cecylia Jaworska, moja żona jest także Polką i nazywa się Lidia Marian. Kiedy byłem jeszcze uczniem, później studentem, wśród moich lektur

obok Dantego, Homera, Lorci, Goethego byli Mickiewicz i Sienkiewicz. Z czasem tych polskich autorów przybywało, niektórzy stali się mi szczególnie bliscy, dostarczali — i nadal dostarczają — wielu przeżyć. Zacząłem więc poszukiwać polskiej poezji i — korzystając z przekładów filologicznych — nawet tłumaczyłem. Polska poezja jakby realizowała ideę Henri Michaux: jak najmniej słów, a jak najwięcej myśli.

Polska wydała kilku znakomych poetów, że wymienię tych, którzy wywarli na mnie niezaprzeczalny wpływ: Tadeusz Różewicz, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska... Proszę tego co powiem nie brać za grzecznościowy gest wobec Polki, ale wymienieni przeze mnie poeci posiadają ogólnoswiatową rangę. Oczywiście celowo nie wymieniałem Czesława Miłosza, chyba najbardziej fascynującego z żyjących dziś poetów, dla którego nagroda Nobla jest jedynie potwierdzeniem jego wielkości. W naszym miesięczniku „Convorbiri Literare” poświęciliśmy całą kolumnę jego wierszom i jego osobie jako twórcy współczesnej poezji.

Myślę, że nawiązana przyjaźń i współpraca pomiędzy naszą redakcją a „Odgłosami” pozwoli przybliżyć nam wzajemnie nie tylko nasze literatury ale i narody, gdyż zaczęliśmy drukować w Rumunii obok wierszy, także przekłady polskiej prozy, a nawet artykuły poświęcone krytyce.

Nie zamierzam składać żadnych grzecznościowych deklaracji, ale mogę zapewnić, że mój pobyt w Łodzi na pewno znajdzie swoje odbicie w moich wierszach. Bowiem temat człowieka w poezji jest stary jak sama ludzkość. My, poeci, przekształcamy prawdę w sztukę, gdyż sama prawda nigdy nie jest sztuką. Niżej prezentujemy kilka wierszy Ioanida Romanescu.

EUGENIUSZ IWANICKI

Revolucja trwa

Nie ma wyjścia, panie Cézanne, akademia twierdzi, że każda plama barwy musi mieć ścisły zarys, każde zdanie zakończyć się fest — bo inaczej myśli zlewają się — co powie tłum o balaganie w naszych głowach? nie mamy wyjścia zostawmy innym tworzenie instytucji i życie, życie jak karczma my nie mamy otwartych kont, nie jesteśmy ustepliwi my żyjemy ciągłą rewolucją my gdy pijemy otrzeźwiamy się lubimy muzykę doskonałą ubieramy się na biało i chemy czystej wdowy, co robisz panie Cézanne jeśli nie jesteśmy zrodzeni dla sztuki? 1978

Z sercem

Może życie moje jest serią błędów ale to co czuję do was jest luksusem którego mi nigdy nie brakowało ku wam nie przychodzę jak zmięty papier niesiony przez wiatr ku wam przychodzę wypić rosę ze skrzydeł skowronka jestem poetą bez słów jestem poetą bez biurka ja jestem poetą z sercem ku wam zbliżam się do samego siebie kiedyś na niebie widoczny będzie i ślad lotu ptaka — jestem tym który was broni od zalewnu słów 1973

Moja poezja

Moja poezja jest nerwowa ciągle mówią przez ramie zapomina o bilecie jest wysadzana za każdym razem prowadzą ją do domu nieznanymi przyjaciółmi nie ma sławy po prostu nie żyła jej sobie nie ma religii ponieważ zbyt kocha życie nie czyni prozelitów ponieważ nigdy nie spogląda do tyłu nie chodzi w odwiedziny nie oczekuje nikogo nie marzy kolorowo nie gapi się by dostać cokolwiek ma wszystko co jej trzeba 1972

Ave Maria

Raz do roku talki tłuką wystawy przekradają się pomiędzy pensjami pomiędzy chlebami i wódka aż do białych sań z brody pewnego mędrca po czym pną się rynnami przekraczają religie zatrzymują się w butach pod poduszkami wszystkich dzieci powodując urazy, wchodząc im w ciało od strony złudzeń raz do roku — tyle — dalej jest okolicznościowa namiętność niezbędny chaos od którego ludzie chcą się mówić sami 1966

Przekład: FELIX ROSCA

Jur wchodzi do klatki schodowej, po stylowych schodach — na pierwsze piętro. Na futrynie drzwi trzy dzwonki, trzy wzytówki. Przyciska guzik. Nikt nie otwiera. Przyciska wszystkie trzy naraz.

W drzwiach staje starsza pani w binoklach zawieszonych na łańcuszku. Zadbana, uczesana — w stylu retro.

— Słyszałam trzy dzwonki Pan do kogo?

— Dzień dobry, ciociu. To ja. Mąż Dominiki.

Pani zdejmując binokle — teraz dopiero go widzi.

— Proszę cię, wejdz!

Przestronny przedpokój, jak to w starych, zamożnych kamienicach. Jur zdejmując płaszcz, wchodzi za ciotką do pokoju.

— Czego się napijesz? — pyta tonem amerykańskiej damy. — Może kawę.

Starsza pani wychodzi, Jerzy rozgląda się po pokoju — stare meble, nad drzwiami łeb

pociąga go lekko laską za rękę. — Franz Josef, stary „Meissen” — mówi, akcentując niemieckie słowa. — A to wczesna secesja — bierze do ręki figurkę z kwiatarką.

— Nie przesadzaj, Józiku — strofuje go łagodnie ciotka.

— Popatrz na ten koszyk z kwiatami — mówi, nie zwracając uwagi na ciotkę. — Na tę laweczkę, ta zdobność w porzecznych kształtach, ta twarz pełna wyrazu, a jednocześnie te linie, te... Agnes, pójdziesz mnie trochę zastąpić? — zwraca się do ciotki. — Wyszłam tylko na chwilę, a z Jurem chciałbym pokonwersować. Słyszałeś o mojej stracie? — mówi do niego szepcąc. — Wiesz jakie nieszczęście? — Józiku, to w zeszłym roku... — podpowiada znów ciotka.

— Wszystko jedno. Ars longa, vita brevis... barokową figurkę mi stłukły te wiedźmy — mówi

nie udając nam odebrać — pokazuje mu Krzyż Kawalerski. — Krzyż Kawalerski. Powiedz jej. Już nie pamiętam, czy zapomniałam napisać, czy Dominika zapomniała zapytać. Tak rzadko o cokolwiek pyta... Nie macie dzieci, wiem. Ale ja też jestem sama. Sama? Mam swoje „wiedźmy” jak je wuj Józik nazywa. On ma porcelanowe figurki. Czasami któraś się stłucze. Tyle wciąż spraw... Tyle ludzi wokół...

— Widzisz, jak mało wiemy o sobie? W liście wszystkiego napisała się nie da, poczta zresztą daleko — mówi z goryczą. — Nie macie czasu... Otwiera szufladę, wyciąga etui.

— Innych — dzieci już im się

grafii, wisi, nie zaglądam w jej wnętrze, to już nieme strony. Niepotrzebnie poruszyłeś je teraz.

— Jak jej było na imię?

— Dominika... Też Dominika. Chciałam ocalić ją w tej... Wywlekli ją jednymi drzwiami, wrócili drugimi. Dlaczego nie przywoziłeś jej z sobą?

Jur milczy przez chwilę.

— Przyjechałam, żeby się mamę o nią zapytać. Dlaczego... Może ona nie chce być tamtą?... Chce istnieć na własny rachunek?... Nie wiem. Też zgubiłam ją i tutaj przyszedłem ją szukać. Może ona też chciała być dla mnie sobą, a wypadło jej być kimś innym? I dlatego odeszła?

— Widzisz, jak mało wiemy o sobie? W liście wszystkiego napisała się nie da, poczta zresztą daleko — mówi z goryczą. — Nie macie czasu... Otwiera szufladę, wyciąga etui.

— Innych — dzieci już im się

HENRYK CZARNECKI

Fragment nie napisanego scenariusza

dzika, na ścianie portrety, przy drugiej ścianie na wymyślnych półkach, stolikach, kolekcja porcelanowych figurek.

Wraca ciotka, stawia miniaturową filiżaneczkę z kawą, sobie nalewa whisky, miesza z wodą sodową z syfonu, siada naprzeciw Jura, pociąga ze szklanceczki porządny łyk. Jur patrzy na nią lekko zdziwiony.

— Przepraszam, gdzie mama? — Masa spraw, tysiące obowiązków, widocznie zapomniała uprzedzić ją o swoim przyjeździe.

— A tak... Jestem tutaj przejazdem.

— Jak miewa się Dominika? — dama pyta wytwornie.

— Dziękuję.

Otwierają się drzwi. Wchodzi trzy starsze panie w kapeluszach. Jerzy podnosi się na krzesła, jakby zastępy na moment w takiej pozycji.

— W biurze wymieniałą grzejniki — wyjaśnia szybko jedna z nich. — Dzień dobry, Jur, cieszę się, że przyjechałeś — rzuca okiem na stół.

— Jadłeś coś... Nie szkodzi, niedługo kolacja — rozgląda się po pokoju. — Gdzie moja córka?.. Rozgośćcie się moje panie. Jest czwartek — pokazuje na Jura. — Takiej okazji nie można zmarnować. Zaraz, zaraz, grasz w brydża? Szkoła. Agnisi! Nikt o mnie nie pytał? Nie dzwonili? — zwraca się do siedzącej z Jurem damy w binoklach.

Wszędzie jej pełno. Panie też czują się tutaj jak u siebie w domu, siadają przy stole, gospodyni nalewa im po kieliszku sliwownicy, wypijają duszkiem jak na komendę, zapalają papierosy. Pani domu wyciąga z torebki zwitek papierów.

— Dużo tego, nie mamy — mówi, przerywając papiery. — Przepraszam was — zwraca się teraz do Jura, do siostry — ale musimy to teraz zaraz załatwić... Do „Stachurki” trzeba koniecznie jeszcze dzisiaj sprrowadzić lekarza — mówi do jednej przybyłych z nią dam. — Pójdziesz, „Zorza” do Funi i poprosisz ją. I posiedź trochę u „Stachurki”, bo to jej bardziej potrzebne niż lekarz — mówi wszystko „na jednym oddechu”.

Wchodzi wuj Józik — starszy pan w muszce, z laseczką ze srebrnym okuciem.

— Witam, witam — pochyla głowę w kierunku pań, Jura wita serdecznie ściskając mu rękę. — Nie widziałem jeszcze mego ostatniego nabytku —

wi szepcąc, skłaniając jednocześnie z szacunkiem głowę w ich kierunku.

— Józiku! — syknęła ciotka. — Nie słysz, raffury — sklonił znów głowę w ich stronę.

— Spospolitowałaś się, Józiku, w tej pracy. Jak można o damach... — Chodź, zobacz! — pokazuje Jurowi puste miejsce po figurce. — To grób, który godzi się uszanować. Nie postawię niczego już na to miejsce. Ona żyje tu dla mnie, rozumiesz? — mówi z tragiczną miną.

Po kolacji, ciotka, matka Dominiki i wuj Józik wstają od stołu, każdy odnosi swoje narkrycia do kuchni.

— W stołowym ci poświęcę na kanapie. Jesteś już pewnie zmęczony — mówi do Jura matka Dominiki.

— Chciałbym jeszcze porozmawiać z mamą — mówi, rozglądając się czy tamci nie wracają z kuchni.

— W takim razie przesiądźmy się do tego stolika. Nie będziemy przecież przy stole.

Stawia na stoliczku koniak, krakersy. Siadają. Jerzy nalewa.

— Nie, nie, tylko sobie. Ja napiję się ginu — podnosi się, bierze z barku butelkę, nalewa sobie.

Nagle uwagę Jura przykuwa rodzinna fotografia na ścianie tuż za jej głową. Pośrodku ośmiorga może dzieci — jego teściowa.

— To mamusia miała... raz, dwa, trzy... — liczy, spogląda na nią zdziwiony.

Zatrępotana rzesami, wypita od razu pełen kieliszek.

— Szescioro. Obok mnie z lewej strony to moja córka — mówi kamiennym głosem, nie patrząc na fotografię. — Żadne z tych dzieci nie żyje.

— Nie rozumiem.

— Pytał, które dzieci żydowskie, nie powiedziałam, zastrzeżli wszystkie — znów nalała, wypita. — A mnie zostawił, żebyśmy musiały żyć... No to i żyję.

Teraz dopiero zobaczył maleńki znaczek Zbowidu na kolenieryku bluzki. Zauważyła to.

— Pracuje społecznie w Zbowidzie, „Zorza”... to znaczy pani... Hanka — przypomniała sobie po chwili jej imię. — Jesteśmy dla siebie — mówi chaotycznie, nerwowo — „Zorza”, „Funią”, to lekarka — dodała wyjaśniająco — „Jasminem”.

„Brzoza”... Czas zatrzymał się dla nich tam, wtedy... — znów nalała kieliszek ginu, wypita. — Przyzwyczaiłam się do tej foto-

nie udało nam odebrać — pokazuje mu Krzyż Kawalerski. — Krzyż Kawalerski. Powiedz jej. Już nie pamiętam, czy zapomniałam napisać, czy Dominika zapomniała zapytać. Tak rzadko o cokolwiek pyta... Nie macie dzieci, wiem. Ale ja też jestem sama. Sama? Mam swoje „wiedźmy” jak je wuj Józik nazywa. On ma porcelanowe figurki. Czasami któraś się stłucze. Tyle wciąż spraw... Tyle ludzi wokół...

Jur wraca ulicami Zamościa na dworzec kolejowy. Mijając kiosk wkłada rękę do kieszeni, sprawdza, czy ma papierosy, zawraca, staje przed kioskiem. Cała przednia szyba zastawiona papierosami, pocztówkami.

— Proszę „orienty”.

Kioskarz podał mu je bez słowa.

— Przepraszam, którego najbliższego do dworca?

— Z rynku na lewo.

Głos wydał mu się nagle znajomy. Pochylił głowę, zajął do kiosku.

Wcisnięty w małą przestrzeń kiosku siedzi wuj Józik, kryjąc się za pocztówkami.

— No, co się tak patrzysz? Mógłbym być dyrektorem czegoś tam, ale... z ciocią Agnes.

— Heł! — Niech będzie Heł, ale to nie brzmi... gospodarzemu tu sobie na zmianę... No co? U was w Łodzi nie się nie zmieniło od przed wojny? No to i my musimy się zmienić. Chodzi jednak o to, żeby sprzedając papierosy, nie sprzedać duszy. Nasz przyjaciel inżynier dlatego jeździ taksówką, ale wydaje zawsze resztę i nie bierze napitków...

Podchodzi do kiosku kobieta. — Jest proszek „bio”?

Wuj podaje jej inne pudełko. — „Pollena”. Lepsza, tańsza, bardziej ekonomiczna. Może być?

— Proszę.

Znów ktoś podchodzi. — Paczkę caro.

— Mogą być mariboro? Nie-wiele droższe, a mniej szkodliwe.

Klient bierze, odchodzi. — Staram się nie używać zwrotu „nie ma”. Na tym polega szlachectwo, żeby nie nowiedzieć, umiejętność handlu... Nie masz pojęcia jaka tu ciekawa praca. Co za studium psychologiczne. Pamiętniki napiszę...

Podana onegady do publicznej wiadomości przez dyrekcję krakowskiego Teatru im. J. Słowackiego informacja o rozpoczęciu w nim prób sztuki Karola Wojtyły „Brat naszego Boga” zelektryzowała wszystkich. Oczekiwaniom na tę premierę towarzyszyła wyjątkowa zgoda ciekawość. Z tak wielkim i życzliwym zainteresowaniem publiczności i krytyki nie spotkał się nigdy żaden z naszych dramaturgów — to prawda ale też nigdy... I chociaż „Brata naszego Boga” napisał Karol Wojtyła, a nie Jan Paweł II, i chociaż sztuka ta powstała w końcu lat czterdziestych, gdy książkę Wojtyły przebywał na pierwszej placówce duszpasterskiej we wsi Niegowic, to dziś już nie da się zapomnieć przy próbie oceny tej sztuki sprzed lat już przeszło trzydziestu o niedawnym wyniesieniu jej autora do najwyższego Urzędu w Kościele.

Jest rzeczą w moim przekonaniu niewątpliwą, iż istniejąca przeciw w naszej świadomości możliwość zapomnienia bodaj na chwilę o tym, co stało się później — przeznaczeniem księdza Karola Wojtyły, byłaby niesłychanie pomocna w obiektywnej ocenie Karola Wojtyły twórczości artystycznej: poetyckiej i dramaturgicznej. Ale możliwość taka istnieje w nas już chyba tylko teoretycznie, praktycznie bowiem, mimo najświetniejszych chęci owych faktów dokonanych, a tak znaczących oddzielić się nie da, podobnie jak nie da się z całą pewnością stwierdzić kiedy i w jakim stopniu, gdyby nie ów fakt najważniejszy, scena polska zainteresowała się od lat już przeciw istniejącą dramaturgią Karola Wojtyły.

Wiesz niesie, że autor ten pisząc swoje sztuki darował ich maszynopisy znajomym, nie interesował się dalej losami tych tekstów i nie starał się nigdy o inscenizację swoich utworów, ani o jakikolwiek wokół nich rozgłos. Wydaje się więc zjawiskiem normalnym, że przedstawiono je publiczności dopiero wtedy, gdy ich autor wstąpił na ów najwyższy urząd. W stosunku do sięgających teraz po sztuki Karola Wojtyły inscenizatorów (słyszę już bowiem, że następni twórcy biorą na swój reżyderski warsztat jego utwory) pojawia się może podejrzenie o swoisty koniunkturalizm. Bronisław Taborski, badacz i znawca twórczości Karola Wojtyły twierdzi jednak, że „dramaturgia ta wcześniej, czy później byłaby zauważona i odkryta dzięki swym treściom i immanentnym walorom”, ale w toku swoich rozważań opublikowanych w programie wydanym z okazji krakowskiej inscenizacji stwierdza: „Może jednak raczej później niż wcześniej”.

Kwestia momentu odkrycia dla sceny tych tekstów, odkrycia przyspieszonego zrządzeniem losu, biegiem wydarzeń, rozwojem biografii autora, jest tym trudniejsza, że dramaturgia Karola Wojtyły we wszystkich swoich aspektach jest odmienna od tego, do czego całymi latami przyzwyczailiśmy się w naszych teatrach.

Dramaturgia Karola Wojtyły, mimo bardzo wyraźnych — także formalnych — pokrewieństw z twórczością Wyspiańskiego, jest w swojej tematyce całkiem odmienna od tego, czym dziś interesuje się większość twórców piszących dla sceny. Krag dramaturgicznych zainteresowań Karola Wojtyły zdaje się nie obejmować zewnętrznego świata i naszych z nim związków, zdaje się nie obejmować także i tego, co język szkolnych wypracowań określa mianem stosunków międzyludzkich. Czyżby zatem do spraw wyabstrahowanej z rzeczywistości jednostki była ta twórczość zawężona? Nie! — na to pytanie tak właśnie, przecząco, mogę odpowiedzieć z całą stanowczością i przekonaniem po obejrzeniu prapremierowej inscenizacji „Brata naszego Boga”. Karol Wojtyła te znane nam ze

współczesnej dramaturgii kregi jej szerokiej skądinąd zainteresowań znacznie przekracza i w sposób dowodzący pełnej ich znajomości wychodzi poza nie w jeszcze rozleglejsze w jego przekonaniu obszary ludzkiego wnętrza, gdzie burzliwe związki człowieka z sobą samym, konflikty, walki i zmagania przeznaczeń, powołań i wahań znajdują dla siebie najwięcej miejsca. Ta rozległość człowieka wnętrza, ta jego nieograniczoność, jawi się autorowi przede wszystkim jako umiejętność dokonywania świadomego wyboru postawy wobec siebie, innych ludzi i świata i równoznaczna z możliwością wszelkiego działania człowieka interesuje Karola Wojtyłę w jego dramatach przede wszystkim, a w sztuce „Brat naszego Boga”, chyba najbardziej. Ona właśnie, ta nieograniczoność ludzkiego wnętrza, za sprawą Adama Chmielowskiego — Brata Alberta, który swoim losem egzemplifikuje to abstrakcyjne

„BRAT NASZEGO BOGA”

przecież pojęcie, staje się pierwszym, właściwym bohaterem sztuki, osią rozważań autora i przedmiotem naszej, wywołanej przez tę sztukę refleksji.

Koncentrując swoją uwagę na wnętrzu człowieka i zrodzonej z jego złożoności sily moralnej, zrzęgnął Karol Wojtyła z precyzyjnego relacjonowania ze sceny biografii swego bohatera. „Brat naszego Boga”, nie jest sztuką biograficzną w powszechnym znaczeniu tego słowa i nie dzieje życia artysty wyznaczając jej rytm, ale dzieje jego myśli, emocji i uniesień, dzieje jego wewnętrznych przeżyć. Świat zewnętrzny wpływa na ich rozwój, wzbudza je i roznieca, a zda się, że czyni to po to, by zrodzona z tych przeżyć siła posłużyła jego sprawie.

„Brat naszego Boga”, powtórzę to raz jeszcze, nie jest sztuką biograficzną. Co skłoniło zatem Karola Wojtyłę do jej napisania i czyniło sztuką ta nie będąca biografiami ani portretami artysty, który zrzęgnął ze sztuki, by służyć potrzebującym pomocą jest w zamysłu swojego twórcy? Zacytujmy fragment zapisany przez niego genety i motywacji z jakiej narodził się ten utwór. „Będzie to próba przeniknięcia człowieka — pisze Karol Wojtyła. — Sama postać jest ściśle historyczna. Niemniej pomiędzy samą postacią, a próbą jej przeniknięcia przebiega pasmo dla historii niedostępne. W ogóle bowiem człowiek ma to do siebie, że niepodobna wyczerpać go historycznie. Pierwotnie poza historyczny w nim tkwi, owszem, leży u źródeł jego człowieczeństwa. Próba przeniknięcia człowieka łączy się z sięganiem do tych źródeł”.

W próbie przeniknięcia człowieka autor postanawia „sięgnąć do konkretnych zasobów jego człowieczeństwa, aby odnaleźć w nich ten szczególny blask na ciemnym tle tej rzeczywistości, przez którą łączy się on z nami. O ile zdolamy odsłonić ten blask, utrwalając go jednocześnie w dostępnych surowcach wyrazu — Sądzę, że to tyle, o ile umiemy uczynić w tej samej wielorakiej rzeczywistości, w której on uczestniczy! — i w sposób do niego zbliżony”. To ostatnie zdanie brzmi w sposób bardzo osobisty i z całą stanowczością stwierdza, że sztuka „Brat naszego Boga” nie będąc sztuką biograficzną nie jest także dziełem autobiograficznym, trudno oprzeć się odczuciu, że w tym autorskim komentarzu kryje się coś, co pozwala drogę do

wielkiego i prawdziwego człowieczeństwa widzieć w życiorysie twórcy tej sztuki, w nim zaś samym, uczestniczącym w „wielorakiej rzeczywistości (...) w sposób do niego (Adama Chmielowskiego — Brata Alberta) zbliżony” — Człowieka.

Sztuka Karola Wojtyły, w sensie, do którego jesteśmy najbardziej przyzwyczajeni, wydaje się być mało teatralna. Brak jej jednolitej, rozwijającej się w czasie akcji, czas nie ma tu owej zgodnej z zegarem i kalendarzem konstrukcji. Sceny z dziejącą się na oczach widzów teraźniejszości przeplatają się z czasem minionym, czas miniony wydaje się trwać nie tylko we wspomnieniu, ale i w otaczającej bohatera rzeczywistości. Ta pozornie tylko nie-teatralność (pozorna, bo historia teatru europejskiego włączyła już w swój nurt i przynależała należne miejsce utworom scenicznym o stulecia wcześniejszym i znacznie luźniej skomponowanym, ale obrazującym w teatralnym kształcie podstawowe problemy ludzkich losów i zasad naszej w świecie egzystencji) czyni sztukę Karola Wojtyły utworem dosyć trudnym w odbiorze, wymagającym od widza nie tylko wielkiego skupienia, ale także głębokiej chęci zrozumienia, otwarcia na myśl i przekonania bynajmniej nie imperatywicie, ale z wielką siłą własnej nie wiary, formułowane przez autora. Głębokie człowieczeństwo bohatera całym sobą idącym ku innym ludziom jest dla autora wartością najcenniejszą. Czyż ten człowiek idący do człowieka ma pomagać potrzebującym na drodze działalności filantropijnej, czy też wesprzeć własnym przekonaniem o ich niezbędności, i służyć przemianom społecznym o charakterze rewolucyjnym — tego nie rozstrzyga wychodzący z wyraźnie nakreślonego w końcowych scenach założenia o możliwej jedności wszystkich, nawet tak bardzo różniących się swoim charakterem działań służących dobru ludzkości.

Sztuka Karola Wojtyły to rozpisany między kilka głosów wielki traktat filozoficzny, rzecz o etyce i moralności, o zobowiązaniach człowieka wobec człowieka, a zadaniu wspólnym dla wszystkich, o jednym z możliwych sposobów jego rozwiązania, o koniecznej pełnej świadomości i konsekwencji wszelkiego wyboru.

Wielką wartością tej sztuki i Urząd jaki dziś sprawuje jej autor, nakazały twórcom jej scenicznej kształtu skromność w jego opracowaniu. Krystyna Skuszanka z widocznym pietyzmem dla tekstu wyreżyserowała go z ogromną kulturą i taktem, odrzucając z góry wszelkie zawsze przecież możliwe do zaprezentowania „atrakcyjne” chwytły inscenizacyjne. „Brat naszego Boga”, to w jej inscenizacji widokowo klarowne i czyste. Ta klarowność przedstawienia przy znacznym przecież stopniu trudności tekstu osłania i przybliża ów tekst i łatwiejszymi do przebrnięcia czyni jego konstrukcyjne meandry i filozoficzne zawisłości, choć niczego nie „upraszcza”, ani środkami inscenizacyjnymi nie stara się „przełożyć na język teatru”. Bardzo prosta, ale niezwykle funkcjonalna scenografia jest dziełem Anny Sekuły i Grażyny Zubrowskiej. Muzykę skomponował Krzysztof Penderecki. Z olbrzymią i bardzo trudną rolą Adama Chmielowskiego, który porzucił sztukę, by jako Brat Albert stać się „nędzarzami, nędzarzem”, pięknie poradził sobie Jan Frycz. Interpretacja ta zasługuje na najwyższe uznanie.

EWA PANKIEWICZ

TELEWIZJA

Dia Słowackiego nie był „Kordian” utworem historycznym. Napisał go w 1834 roku, w kilka zaledwie lat po koronacji cara Mikołaja I na króla Polski i po powstaniu listopadowym, które to wydarzenia stanowiły dla poety główną inspirację do napisania wielkiego dramatu. Jednak w miarę upływu czasu i narastających w życiu narodu przemian, wiele było inscenizacji „Kordiana” odsyłających widza do przeszłości, do romantycznego zrywu listopadowego i do rozdzarcia, jakie rozdzieliło z antynomii zapału i zwątpienia. W takim ujęciu dramata klasycyzował się i stawał się coraz bardziej narodowym muzeum.

Bohater tytułowy dramatu, młody arystokrata, jest postacią ulepioną z tych dwóch przeciwstawnych sobie i wzajemnie się paraliżujących postaw. Jakże on przy tym dumny i wzdarciały w stosunku do rodaków, których bierność zamierza zrekomensować swoim jednostkowym czynem! Jeśli Polacy wahają się i nie kwapią do działania, to Kordian w pojedynkę sprawę zalać jednym cełnym pchnięciem bałagietu w pierś wschodniego satrapy.

Cóż, kiedy jak się rzekło bohater także porażony jest niemocą i niezdolnością do czynu. Nadmiar wyobraźni skrupy jego ruchy, a wielkie ciśnienie, jakim poddana jest jego odpowiedzialność psychiczna, rzuci omdlałego i bezsilnego pod no-

gi niedosłej ofiary. Pojmam i poddanemu badaniu psychicznemu na pocztyłoność pozostanie rozważanie, czy wbrew szlachetnym intencjom czyn, którego chciał dokonać, miał racjonalne uzasadnienie.

Słowacki, będąc dla swego bohatera surowym sędzią, rozstrzyga dylemat w planie metafizycznym. Gdy Kordian zapytuje Doktora-Diabła o sens swojej ofiary, ten ukazuje mu dwóch obłąkanych, z których

KORDIAN CHŁODNY I GORZKI

jeden mniema, że jest krzyżem Chrystusa, a drugi, że to on swym ramieniem podtrzymuje sklepienie wszechświata, oceniając w ten sposób ludzkość. Sztafaż diabelski, w jaki opracował poeta dramata o sprawach jak najbardziej racjonalnych i doczesnych, ma swe źródło w romantycznej manierze. Nie odbiera to ostrości widzenia błędnej drogi, po której stąpa Kordian i która musi doprowadzić go do osobistej klęski.

Wystawiając „Kordiana” w telewizji w 1980 roku, reżyser i przykrawacz tekstu Gustaw Holoubek zdecydowanie dąży do współczesnej interpretacji dramatu. Nie sądzę, by w gorącej temperaturze ideowej, w jakiej żyjemy, można było podejść do inscenizacji inaczej. Nie chodzi przy tym o wydobycie jakichś historycznych analogii, ale o dramat postawy bohatera. Przy wszystkich swo-

ich wykopających i młodzieńczej przywarach jest Kordian egzemplifikacją walki, jaka się toczy w duszy naszego narodu. Od uświadomienia sobie mechanizmów, które każą Polakom miotać się między wolą czynu i niemocnością, tak wiele dzisiaj zależy!

Realizator spektaklu, a zgodnie z jego wolą także wykonawcą tytułowej roli Marek Kondrat, na tym aspekcie dramatu skupia uwagę. Stąd bierze się nieco wyciszony ton, w jaki wbrew tradycji uderza Kondrat, stąd silny akcent położony na rolę Diabła, który jest personifikacją zmagania wewnętrznych bohatera. Sprawdzono teylekór, wystaje jak stare wino aktorstwo Gustawa Holoubka przyczynia się do nobilitacji tego duchowego konfliktu.

Pod tym kątem dokonywał również reżyser skrótów tekstu, wyboru i pomijania scen. Z całego na przykład aktu drugiego pozostała tylko scena w St. James — parku w Londynie i końcowy monolog na „igle” góry Mont-Blanc. Wypadły sceny miłosne z Wioletta i satyryczno-polityczna scena audiencji u papieża.

Trudno jednak zgodzić się z wszystkimi manipulacjami tekstem dramatu. Ofiarą skrótu padła scena na Placu Zamkowym z tak potrzebną chyba dla pełnego ukazania konfliktu

tu Kordiana pieśnią Nieznajomego („Pijcie wino! Idźcie śnić!”). Chyba i usunięcie sceny na Placu Saskim, w której Kordian dokonuje konno karkołomnego skoku nad przeszkodą z bagnatów, spełniając kaprys Wielkiego Księcia, zawiesza trochę w próżni wielki dialog Konstantego z Carem, czyniąc mało spójnym z resztą dramatu.

Ta rozmowa, w której dwaj cesarscy bracia szantując się wzajemnie rozstrzygają los Kordiana, należy do najwspanialszej napisanych w całym dramacie. Nic dziwnego, że człowiek teatru Holoubek zdominował tu Holoubka adaptatora tekstu. W efekcie otrzymaliśmy zagraną po mistrzowsku przez Zbigniewa Zapasiewicza i Piotra Fronczewskiego scenę, która jednak podważa proporcje wewnętrznej inscenizacji i wylamuje się z jej charakteru.

Spektakl „Kordiana” w teatrze telewizyjnym jest z pewnością ambitną próbą nowego odczytania „Kordiana”, próbą zastępującą na szacunek, lecz nie we wszystkim zadowalającą. Przy całym uznaniu dla rzetelnego wysiłku Marka Kondrata trudno ocenić ją w superlatywach. Ujawniające się tu i ówdzie w jego grze pływające obniżają rangę przedstawienia. Natomiast na pozytywne wyróżnienie zasługuje muzyka Jerzego Satanowskiego współtworząca nastrojowość.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TEATR

Dawny to zwyczaj recenzentki, by omówienie wydawniczej nowości rozpocząć od w miarę efektownej i w miarę złośliwej parafrazy jej tytułu. Ostatnio z zabiegu tego korzystało niezbyt często — z różnymi zapewne powodów. Może dlatego, że rozpanoszyła się w naszej krytyce literackiej moda wprowadzona ongiś przez angielską Szkołę Hamakową, traktującą książki jako środek u przytępiający wygodny wyprzynek w hamaku, z lekką tylko balansującym przy łada podmuchu wiatru. A ponieważ podmuchy ostatnio bywają silne pora zejść z hamaka po prostu na ziemię.

Tym bardziej, że i książka, o której chce napisać, posiada demitologizatorską wymowę. Otóż Władysław Biliński — wieloletni kierownik literacki jednego z zespołów filmowych, autor scenariuszy — w najnowszej powieści pokazuje jedno z najbardziej owianych miłami i mitomańskich środowisk artystycznych: środowisko filmowców. Godna zastanowienia (by nie powiedzieć: przerażająca) jest w tej książce siła bóg ludzi, którzy mają kształtować miliony widzów, kształcić ich umysły i smak artystyczny, apelować do etyki. Ambicja, interes, siła przebiecia lub jej brak, małostkowość, zmęczenie — oto atrybuty bohaterów. Jedyną w zasadzie sprężyną zdolną animować towarzysztwo jest konkurencja, bezpartnerowe parcie ku wierzchołkowi nieustającej gładki, bo dopiero po zdobyciu szczytu (bądź po maksymalnym ku niemu zbliżeniu)

ZMIERZCH WIDOKÓW

można mieć wszystko: sławę, pieniądze, cudzoziemskie festiwale, a nierzadko przecież i rzeczywistą satysfakcję. Iu jednak może to osiągnąć? Do polowania wystarcza chyba palec jednej ręki.

Demitologizacja środowiska przeprowadza autor przy pomocy środka najbardziej przydatnego i wypróbowanego — przy pomocy ironii. Poczynając od określenia bohaterów: reżyser, to N 1 (oczywiście numer jeden), jego żona, wszechwładna, na planie aktorka to ONA, kierownik produkcji to Murzyn (czarna robota), sprytna i wyrachowana piosenkarka to Zmijka itd. Ironiczny wyźwięk posiada też większość powieściowych sytuacji, gdzie prawdziwa tragedia miesza się z farsą. Sztuka filmowa okazuje się zupełnie bezlitosna: nieprzygotowanych, nieumiejętnych, nieodpornych po prostu wyniszcza. Jak to określa jedna z powieściowych postaci: „Wszystkim nam obdła szajba. Choroba zawodowa. Nasze życie, takie nie-normalne. My, psy bezdomne. Żyć! — wieczni tulańcy, dzieci kwiaty!” Gorączkowy pociąg, cechujący to życie odbija się na twórczości, która okazuje się wiedznią, niekoncząca się gonitwą za tematem, za scenariuszem, za kompletowaniem kolejnej ekipy. Dla przewijających się przez karty „Widoków o zmierzchu” reżyserów i kierowników literackich istnieje swoista triada tematyczna, z której dylematów nie bardzo widać jak wybrnąć: temat współczesny — okupacja — przemoc. Rozrywka jako jest — każdy wie. Okupacja, tak wyeksploatowana na ekranie, ciągle jeszcze dostarcza inspiracji. Najgorzej ma się jednak sprawa z tematem współczesnym: „To dreptanie, kółko: temat współczesny! A co to właściwie jest ta współczesność? Trochę pięknych marzeń. Więcej ambicji, ambicijek. Jeszcze więcej żądy posiadania. Żądy władzy. Cwaniactwa. Mądrości. Seksu. Alkoholi. Cierpienia. Gotowości do poświęceń. Chamstwa. Nadwrażliwości. Miłości. Nienawiści...” Nie więc dziwnego, że często powstają fałszywe arcydzieła, jak ów skończony właśnie N 1 film, z ogromnym wysiłkiem reżysera przepchnięty przez koloaudację. Baniowitwa filmowców-bohaterów powieści Bilińskiego współczesność jest czymś zbyt miłym, nieuchwytnym, zamglonym, by mogła stanowić tworzący interesujący dzieła. Myślą oni kategoriami efektownych epizodów i gagów, do których należałoby dopisać jakąś fabułę. Tak oto z powieści obyczajowej „Widoki o zmierz-

chu” przekształcają się w pamiłki na filmowe środowisko artystyczne, na jego kunktatorstwo, na niemożność spróśnięcia chwili. Oczywiście autor nie potępia wszystkich. Wylęca na przykład Wajdę, Zanussiego. Ostrze jego satyry wymierzone jest gdzie indziej i każdy, kto ma na to ochotę oraz średnie choćby rozeznanie potrafi z pewnością rozwiłkować powieściowe szyfry.

Zmierzech rzeczywistości jest tu słowem-kluczem. Kryje w sobie rozmaite treści. Oznacza również zmęczenie wieku męskiego, spowodowane intensywnym rytmem pracy zawodowej i towarzyszącymi mu napięciami, niestabilnością życia rodzinnego, seksualną stylizacją na modłę „Playboya” czy „Penthouse’a”, a także ciągłym poszukiwaniem sensu i celu życia. Właśnie zmęczenie staje się pretekstem do wielu refleksji, wykraczających już poza ramy filmowego zawodu. Chodzi między innymi o to, iż w życiu ludzkim nie jest raz na zawsze dane, zwłaszcza wartości, do których człowiek tęskni niemal bez przerwy: przyjaźń, szczerść, ciepło rodzinne... Trwa ustawiczna konfrontacja z rzeczywistością losu, a widoki na zwycięstwo w tym nierównym starciu wraz z upływem lat stają się coraz bardziej znikome. I tej banalnej prawdy nie przesłoni ani alkohol, ani powierzchowne nasładownictwo sposobu bycia tak

zwanym ludzi sukcesu. A jednak bohaterowie powieści Władysława Bilińskiego nie chcą, nie potrafią pogodzić się z klęską, jaka im zagraża, jakiej przedsmak bez przerwy czują. Wynika to zresztą z różnych przyczyn: u N 1 na przykład z bufonady, u Murzyna po prostu z wierności. A nad tym wszystkim, jak duch nad wodami, unosi się atmosfera twórczego niepokoju... bo twórczość artystyczna zda się posiadać niezwykle ważną, tradycyjnie uświęconą, funkcję w uświadamianiu i lezeniu narodowych i osobistych spleenów. A gdy i ona zawiedzie? Co wtedy? Autor „Widoków o zmierzchu” nie udziela odpowiedzi wprost. Miał niejako wizerunek plakatu reklamującego ów powieściowy film: „Duży prostokąt afisza zdawał się tonąć jakby w półmroku. Zmierzech, to dobre, pomyślał. Z tej niebieskości złamanej fioletem, z wianka białego byle jakiego literackiego wyjeżdża! bezlitosnie realistyczny w każdym szczegółzie wózek inwalidzki. Siedział w nim w niednej piźnami postarzały mężczyzna bez twarzy. Trzymał na kolanach innego, pozabawionego twarzy mężczyznę w takiej samej piźnami, niejako własny wizerunek zmniejszony o połowę. Plakat był dosłowny, metaforyczny, nacechowany wzdarcia, litością i czarnym humorem”. Formuła ta w gruncie rzeczy pasuje do powieści Bilińskiego, przesłaniewczej, gorzkiej, rozrachunkowej i dyskretnie moralizującej, przypominającej o odpowiedzialności i w ten sposób kontynuującej — w innym aspekcie — problematykę między innymi „Wypadku” i „Ikon”.

„Widoki o zmierzchu” to proza zmysłowa, sensualistyczna, rejestrująca maksimum wrażeń, jakich może dostarczać świat osobnikom mniej lub bardziej neurastenicznym. Owo bogactwo wrażeń, atakujących bohaterów powieści dość chaotycznie, zaskakujące, jak to zwykle w życiu bywa, poddane zostaje jednak wnikliwej selekcji — narrator wybiera te nade wszystko niespodzianki, które decydują o niespełnieniu zamierzeń i planów, które niejako behawiorystycznie określają stan zniecierpliwienia i zgorzknienia. Mimo to trudno pośmiać się tej książce o pesymizm, w końcu fakt, iż klęka następuje zmierzchu widoków należy po prostu do dramaturgii życia.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI
W. Biliński, Widoki o zmierzchu, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, ss. 234, nakład 70 000 + 350 egz., cena zł 26.

Niestrudzona Marika Pierwsza z pewnością odrzuca śnieg, wymiata ścieżkę między ścianą winorośli a szczytem domu, pali w piecaku, gotuje, sprząta, rzuca karmę ptactwu i świnie w chlewiku, ukrytym w ogrodzie, na zapleczu, a w chwilach wytchnienia turkoce na polskim „Luczniku”. Chałupnictwo to nieźle płatne zajęcie. Trzeba myśleć o przyszłości, może o jakimś ekstra prezencie dla najstarszej córki, którą lada tydzień młody, sympatyczny Lajos pozabawi matczynej opieki. Garaż stoi pusty, a młodej parze przydałyby się jakieś własne kółka, zwłaszcza że Lajos pracuje u budowlanych w Kecskemét, odległym o jakieś trzydzieści kilometrów. Ostatecznie, żaden to luksus. Tu, w Jakabszallás, w co trzecim domostwie stoi wartburg lub lada, fiat albo trabant. „Samochodu rozwiniętego socjalizmu” nie widać. Znają „malucha” w Jakabszallás tylko z telewizji i ma on tutaj swój w nazwie odpowiednik: „pici-fiat”.

Marika Druga („Druga” w odróżnieniu od mamy) przebiega się pewnie z trudem przez śniegi do spółdzielni „Nepfront”, gdzie pracuje intendentką — z uwagi na stołową — zaczyna przed szóstą rano. Wpadnie na godzinę na domowy obiad i znów powróci, ale cóż to za trud przy dwudziestym wiośnie życia?

Jolán z kolei ma jeszcze tyle lat, by radość z nadchodzących świąt i choinki przeżywać tak radośnie jak najmłodszy, czterolatek Laci. I aż tyle lat, by od czasu do czasu przygaszały blyszczące oczy; to już drugie święta bez ojca. Wdowa Tóth Laszlóni, czyli Marika Pierwsza, rozjaśnia się patrząc na świadectwo Jolán. Uśmiecha się z zażenowaniem wobec innych rodziców, gdy słyszy stałe pochwały na wywidłowe i godzi się z opinią nauczycieli: Jolán powinna iść do liceum od września. Jest naprawdę zdolna. To właśnie ona pełni funkcję rodzinnego sekretarza do spraw kontaktów z przyjaciółmi za granicą i wysyła pocztówki, często w ich języku. Spokojnych świąt, pomyslnego nowego roku — życzą mi z domu, gdzie spędziliam część tegorocznego lata. Tej samej treści życzenia odczytuję z kart od węgierskich przyjaciół z rolniczej spółdzielni produkcyjnej „Nepfront” w Jakabszallás, z serca Wielkiej Równiny Węgierskiej.

Te ogromne śniegi, jakie zwały się z zawiejami na węgierskie równinne polacie mają groźniejszy wymiar niż to pokazała w migawce nasza telewizja Trudności komunikacyjne, białe pułapki dla samochodów, dla domostw oddalonych od głównych arterii, mają w końcu charakter przejściowy, przemijający. Gorzej z sadami, z drzewami ciągnącymi się w rzędach na kilometry — tak płytko wrosniętymi w piaszczystą glebę, z tak kruchą tkanką gałęzi i konarów. Morele, brzoskwinie, śliwy, grusze. Niemal słyszę ów charakterystyczny trzask, jaki w lecie dochodził czasem uszu, gdy po owoc sięgały zbyt leniwe lub zbyt łakome ręce. Wichura ma ręk tysiące, a jedna silniejsza od drugiej. Z kształtów czarnych liter skreślonych na śnieżnobiałych kartach domyślam się nastrojów, pamiętam, jak wyglądają twarze tych ludzi, poważnie zasumowane obawą o straty.

To był czerwiec. Lalo i znów lalo. Nie dojrzały w terminie owoce i zboża, opóźniły się zbiory, obniżała ich jakość. Ale wtedy, gdy pola i sady zlewał deszcz, można było liczyć na słońce. I wyszło wreszcie trwałej rozżarzone z drugą dekadą lipca. Na co liczyć dziś, jeśli tyle gałęzi leży na ziemi, a korzenie ujrzały światło dzienne?

Tych sadów przed kilkunastu laty w ogóle tutaj nie było. Wzrosły jak i parotyskie Jakabszallás, wraz ze spółdzielnią produkcyjną, z taką — jakich w kraju niewiele, tylko sześćdziesiąt (tj. 3,5 proc. ogółu, w których przeważa typ kolehozowy). Przed nimi jednak przyszłość. Potwierdzają to zyski i rzeczywisty wzrost poziomu życia zatrudnionych w nich ludzi. Żyli dawniej w odludnych, pojedynczych osadach (tanya), spółdzielnia osiedliła ich w Jakabszallás, gdzie weszli w rytm życia społecznego. Żyli przedtem biednie, teraz o dobro wspólnie zabiegają tak, jak o prywatne. „Nem munka (praca) nem forint” — oto najprostszą motywacją związaną z mechanizmem ekonomicznym, jaką słyszalam. Zysk — to spółdzielców interesuje najbardziej. Bilans roku 1979 imponujący: 27 mln f czystego zysku i ładnych, ale to ładnych, podkreślano z mocą, zadłużen. Czołowe miejsce w województwie i lokata w pierwszej dziesiątce kraju.

— Jak to się robi? — dopytywałam się w lipcu tego roku. Warto i dziś posłuchać tych odpowiedzi. Sprawa organizacji i zarządzania w gospodarce rolnej długo jeszcze dla nas nie straciła aktualności. Nie idzie, oczywiście, o podsuwanie pod oczy wzorów, lecz o taką praktyczną wiedzę o tym, co dzieje się w rolnictwie gdzie indziej.

— Się robi — odpowiedział mi z węgierską po polsku Kovács Imre, główny agronom spółdzielni i roześmiał się ze swego językowego

sukcesu. Wskazał przy tym dyskretnie na prezesa.

Prezes Nagy Bela inne w tym czasie wolał zajęcia, podejmując polskich „bratanków” pięcioboja. Panów namawiał (bez większego trudu) do degustacji spółdzielczej palinki i zdradzał tajemki koneserów. Otóż nalepka na butelce nalepką, a sprawdzic nie zawadzi. Kroplę tej mocnej i aromatycznej wódki wystarczy rozetrzeć na dłoni, żeby po zapachu rozpoznać, na czym robiona: na śliwkach, brzoskwiniach czy winogronach? Trudniej sprawdzić, gdy trunk nie ma wielu owocach...

Paniom z kolei Nagy Bela serwowal szklanki wina, podając je na sztywno wyprostowanej dłoni, co obecnym współpracownikom sprawialo sporo uciechy. Wydało się wreszcie. W taki sposób, w regionalnym węgierskim zwyczaju deklaruje się: kawaler. Tą demaskuje co prawda syn, jak przystało pierworodnemu — również Bela, po mleczu — rolnik, absolwent wyższej uczelni, ale nie to Senior, przy swoim animuszu, śmiało może uchodzić za kawalera. I nie tylko. Na mój polski gust mógłby być nawet paroma prezesami naraz: spółdzielni produkcyjnej i SKR, transportu wiejskiego i geesu...

Bo oto czym zajmuje się spółdzielnia „Front Ludowy” z liczbą 1800 członków, 5,5 tys. ha ziemi uprawnej, dominująca gospodarco w promieniu 22 km, z siłami biurowo-administracyjnymi — łącznie z prezesem, księgowym, dwoma wiceprezesami, głównym agronomem — do dwudziestu osób?

Po pierwsze — uprawia zboże. Kukurydzę, pszenicę, jęczmień. Druga gałąź produkcji to sadownictwo: głównie morele, brzoskwinie, śliwy oraz plantacje winogron. Z sadów i plantacji dostarcza surowce czterem gorzelniom, z których dwie własne wytwarzają co roku 8 tys. hektolitrow krępkiej palinki. Ze spółdzielczych winogron kooperant — państwowy zakład winiarski wytwarza wina eksportowe do RFN i Szwajcarii i od paru lat pienisty szampan, równorzędny już konkurent dla francuskiego.

— Bez dobrego surowca, nie ma dobrego trunku — powiedział mi w reprezentacyjnej przyzakładowej degustatorni (?) młody szef

Idźmy dalej spółdzielczym torem. „Nepfront” zajmuje się także skupem mleka, żywca i wszelkich produktów rolnych, jakie ma do sprzedania spółdziałca i każdy rolnik, najczęściej gospodarz na 3 ha. W ramach kooperacji i bez. Co roku na przykład Jakabszallás wysyła na rynek zachodni około 40 wagonów truskawek. Nie wiem, ile ton polskich trafia na Zachód, chyba niemało. skoro Nagy Bela traktuje Polskę jako potęgę truskawkową. Był w Polsce trzykrotnie, oglądał jakieś plantacje.

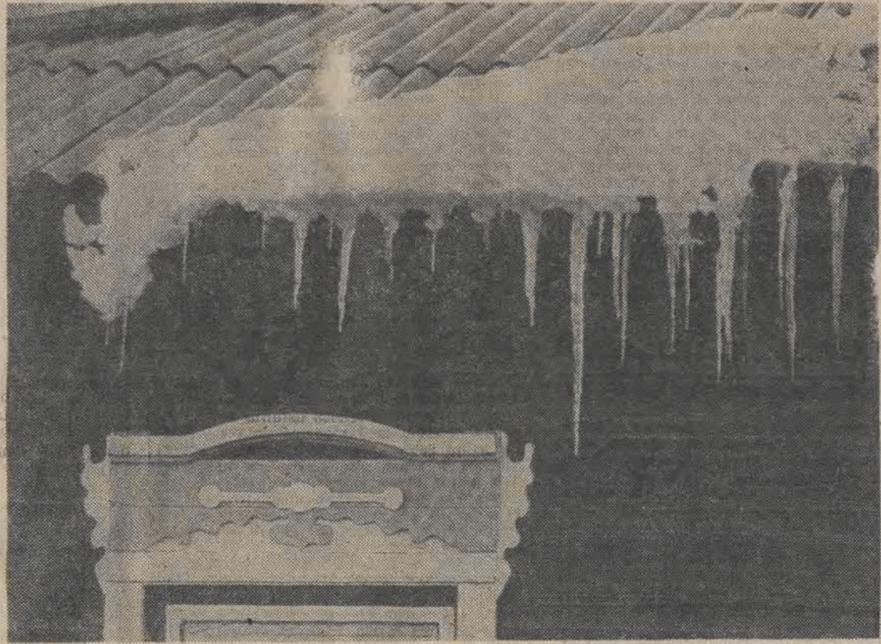
— To doskonale się składa — twierdził z przejęciem — najpierw truskawki dają Włosi, potem Węgrzy, a potem Polacy. Nikt nikomu nie przeszkadza, a truskawki są na rynkach przez wydłużony okres czasu.

TERESA LECHOWSKA Z SERCA WIELKIEJ RÓWNINY

To znaczy: Polacy i Węgrzy mają ten owoc po jednym sezonie, ci, co płacą markami i dolarami — przez trzy.

Oczywiście, prezes Bela jest świadom, że jesteśmy potęgą i w innych dziedzinach, zwłaszcza że posiadamy to, czego brak Węgom, wspaniale i różne surowce.

— Macie bardzo bogaty kraj — podkreślał



produkcji, inżynier Ekkér Lajos, kierując wyrazu uznania pod adresem głównego agronoma z Jakabszallás, Kovácsa Imre, któremu — jak się przekonałam — świetna robota w spółdzielni nie przeszkadza w uprawie własnych parohektarowych plantacji. A może to trzeba powiedzieć odwrotnie?

Czytelników uspokajam: Ekkér Lajos bardzo dobrze włada polszczyzną, dzięki stałym lekcjom pobieranym od małżonki rodem z Koszalina. Niemalą też pracowitość wykazał inny tłumacz — prezes piotrkowskiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, p. Stanisław Stolarski, któremu zawdzięczam możliwość bliższego poznania Węgrów od strony pracy i powszedniego bytowania. Muszę dodać, że rosną kolejne gwarancje przyjaźni polsko-węgierskiej. Oto junior Ekkér Lajos przekroczył rok i — niewiadom swego naturalnego posłannictwa — stawia pierwsze kroki. Na pamiętkę trzymam butelkę półslodkiego szampana, gdyż na niej obok nazwy wytwórni: Kecskemet-Szikrai Allami Gaze dasag figuruje Nepfront Szakszovetkezest z Jakabszallás.

często z uznaniem i nie tylko dlatego, by obecnym tam Polakom zrobić przyjemność, gdyż zaraz potem wzdychał, że jednak szkoda, że takie ciągle mamy „przygody ekonomiczne”. W drugiej dekadzie lipca 1980 r. radio węgierskie nadawało wiadomości o strajkach w województwie lubelskim. Komentarze dobitnie podkreślały katastrofalny stan naszej gospodarki, łącząc go ogólnie z kryzysem politycznym. Co myślał nasz przyjaciele w grudniu? Martwią się o nas, to pewnie, ale też dziwią się chyba, że tak ślamazarnie przestajemy system ekonomiczny. O tej konieczności wiadomo nie od dziś, a wciąż podejmujemy dyskusje od stanu zero, powołując odcieżały zespół do spraw reformy z licznym udziałem osób niekompetentnych, mało kompetentnych lub kompetentnych, lecz dość fatalnie sprawdzonych, gdy idzie o efekty.

U Węgrów też, oczywiście, nie wszystko układa się idealnie. I oni mają powody, by skrobać się w głowę, tę wszakże mają przewagę, że skrobią się bezpośrednio pozbyszy się różnych „czapek”. Spółdzielnia „Nepfront” odwo-

luje się w pionie jedynie do urzędu wojewódzkiego — po akceptacji tego, co zamierza robić. Na przykład po zezwoleniu na własną produkcję karków do butelek, bo to się opłaca. Wyżej jest tylko ministerstwo, także bez dyrygenckich uprawnień. Ta splaszczona struktura wynika z zasadniczego kursu — kursu na efektywność gospodarowania, schylania się po każdego forinta.

To, co naprawdę ważne, istotne dla spółdzielni powstaje w zakresie decyzji, działania i zamierzonych skutków w samej spółdzielni — i dlatego „Nepfront” prowadzi dodatkowo, jako uzasadnioną ekonomicznie, odchownalną kurczą z sprzedaży 11 mln jaj w roku (1 kg 19,70 f — cena z sierpnia) i stopniowo selekcyjnowanych sztuk na mięso, a także... przedsiębiorstwo transportowe. Codziennie około 50 ciężarówek pracuje dla potrzeb własnych i na zlecenia innych firm. Biuro do spraw transportu mieści się dla wygody klientów w wojewódzkim Kecskemét i tylko z nazwy brzmi szumnie. Spółdzielnia ma własne warsztaty naprawcze, konieczne także przy posiadanych 25 ciągnikach i sprzęcie towarzyszącym. Kłopoty zna podobnie do naszych: do ciągników brakuje części zamiennych. Co wtedy? Wtedy zaopatrzniowcy tak jak i u nas, robią „cuda”.

— W latach sześćdziesiątych — mówi prezes Nagy Bela, wybierany od 1964 roku co pięć lat w autentycznie tajnym głosowaniu — byty owszem, sugestie i próby węższego specjalizowania produkcji. U nas jednak, wobec istnienia luźnych, rozproszonych w terenie osad był inny system, który nadal zdaje egzamin — działalność wielokierunkowa. Pewnie, że więcej z tym kłopotu, ale liczy się przede wszystkim zysk.

Co zyskują spółdziałcy? Zniżyć podatku rocznego o dwadzieścia procent, wyższe ceny skupu od obowiązujących na rynku, bezpłatne fachowe porady oraz najem spółdzielczych maszyn. Otrzymują na własność 0,7 ha, do czego dokupić mogą ziemi bez ograniczeń. Nadto pomoc materiałową w budowie i urządzeniu domu, uprawnienia emerytalne już po dziesięciu latach pracy w spółdzielni (po osiągnięciu wymaganego wieku, oczywiście) i emerytury zależne od wysokości wypracowanego zysku. Perspektywy dalszego rozwoju spółdzielni istnieją. Możliwości zarobkowe prezesa, jak i kadry kierowniczej, są ograniczone.

Pensja prezesa ma określony górny pułap — nie może przekroczyć razem z premiami 9 tys. 600 f miesięcznie. Nieco więcej zarabia tylko księgowy. Dla porównania: zarobek niewykwalifikowanego robotnika wynosi 3 tys. forintów. Dużo to czy mało?

Niemal, jeśli wziąć pod uwagę, że wszyscy niemal mają przydomowe działki i gospodarstwa, hodują dla własnych potrzeb świnki i drób, mają owoce i warzywa. Mało kto po paprykę czy cebulę stoi w sklepie. Jeszcze w ubiegłym roku w niektórych domach dla własnych potrzeb pieczono chleb. Mało kto wystaje także po mięso czy wędliny. Rzecz nie w samej podaży. Taniej po prostu żywić rodzinę własnymi domowymi wyrobami, suszonymi, wędzonymi bądź peklowanymi w słoikach. Szywnka jest wędliną od święta, choć w co trzecim domu stoi w garażu samochód, a wewnątrz domów prezentują się od strony techniki nowoczesność. Ten wysoki standard osiągają rodziny dzięki wyteżonej pracy. Nim pojedają czy pojedą do „Nepfrontu”, zaglądają do własnego przychódka, wykonują domowe prace. Dzień pracy nie kończy się po ośmiu godzinach. Ale też nie idzie o to, by pracować krótko czy mało, lecz o to, by z wysiłku efekty mieć i w co drugą wolną sobotę ciekawszy atrakcyjniejszy wypoczynek i pełne z tego zadowolenie.

To spółdzielnia zrodziła wieś podobną do miejskich dzielnic z jednorodnym budownictwem. Ułatwiła budowę wodociągów, dróg asfaltowych, chodników i pięknych domów, nawiązujących w architekturze do rodzimych tradycji. Domów dość typowych, mimo to barwnych i rozmaitych. Z lipcowego notosu przepisuje słowa sekretarza kilkudziesięciosobowej organizacji partyjnej.

— Spółdzielnia oddziaływała na ludzi politycznie i ekonomicznie, bo pierwsze bez drugiego nie dzisiaj nie znaczy — powiedział Szirmai Laszli, z zawodu inżynier ogrodnik. — Zmieniłmy mentalność ludzi, a co za tym styl życia. „Tanya” została w literaturze.

W sercu Wielkiej Równiny Węgierskiej leży miasteczko-wieś, odmienne od naszych, a przecież bliskie. Ucywilizowane, a przecież szanujące tradycję ludową, korzystające z dóbr nowoczesnej techniki, a bez fałszywego wstydu, gdy idzie o pracę własnych rąk, o trud przyziemny. Ludzie bawią się tutaj i często wznoszą toasty. Mają traktiernię, bar espresso, własne domowe winiarnie, a przecież żyją na co dzień bez posterunku milicji. Raz lub dwa w tygodniu zajeżdża tu autobusem z Kecskemét milicjant, zagląda do władz, wypija kawę w barze i odjeżdża. Autobusem punktualnym aż do nieprawdopodobieństwa.

Nowy rok zastał świat niespokojny, podekscytowany. Trwa przecież napięcie międzynarodowe utrzymujące się, a nawet wzrasta poziom zbrojeń, tła się, czasem nawet otwartym konfliktem, różne ogniska... Wychyła się niepewność, czy rzeczywistie odprężenie nie zostanie zahamowane i nie będzie mu-

— i właśnie dlatego szczególnie uważnie czytano i analizowano teksty noworocznych przemówień.

Z telewizyjnego wystąpienia L. Breżniewa odnotowano przede wszystkim te fragmenty, w których sekretarz generalny KC KPZR podkreślał: Związek Radziecki opowiada się za odprężeniem

politycznej. Dlatego zaapelował on do rządów, aby wykazały dalekowszostność oraz świadomość odpowiedzialności i zapewniły narodom lepszą przyszłość.

Kancelarz RFN — H. Schmidt mówił, że jego kraj prowadzi aktywną politykę, zmierzającą do rozwijania współpracy międzynarodowej. Przypomniał, że wizyta w Moskwie przyczyniła się do wznowienia dialogu między wielkimi mocarstwami, na temat ograniczenia zbrojeń Kancelarz podkreślił też, że w swojej polityce kieruje się zasadą niemieszania się w wewnętrzne sprawy innych krajów — również dlatego, aby nikt nie mieszal się w sprawy RFN.

W noworocznym posłaniu Prezydium SFRJ do narodu jugosławińskiego stwierdza się, że nie ma alternatywy dla polityki umacniania pokoju, odprężenia, międzynarodowego bezpieczeństwa i współpracy.

O pokoju dwukrotnie mówił w dniu 1 stycznia papież Jan Paweł II. M. in. zaapelował do wszystkich rządów, organizacji międzynarodowych i ludzi

dobrej woli, aby zjednoczyli swe wysiłki w celu stworzenia skuteczniejszego systemu rozdziału żywności na świecie. Przypomniał, że można by znacznie poprawić los wielu cierpiących, gdyby choć część budżetu, przeznaczanego na wyścig zbrojeń, wykorzystać w celach pokojowych.

O Polsce, jej miejscu w Europie i naszej pokojowej woli mówił przewodniczący Rady Państwa — H. Jabłoński słowami:

„Silna, suworenną, socjalistyczna Polska w sercu naszego kontynentu jest niezbędna dla pokojowego współżycia zamieszkujących go ludów. Stosunek do niej jest miarą rzeczywistych intencji wobec narodu polskiego.

Polska była, jest i będzie wierna swym sojuszom, a równocześnie gotowa do współpracy ze wszystkimi, którzy pragną żyć w pokoju i szacunku dla innych narodów”.

Z tego krótkiego przeglądu wynika, że tegoroczne orędzia, przemówienia i życzenia noworoczne wydobływały tę samą myśl: konieczność życia w pokoju, a więc i tworzenia po temu mię-

dzynarodową działalnością odpowiednich warunków.

Z noworocznym wydarzeń zwrócić uwagę na jeszcze jedno: na przyjęcie w Pekinie, które odbyło się bez przewodniczącego KC KPCh — Hua Kuo-fenga. Można by do tego faktu nie powracać, gdyby nie to, że od pewnego czasu kraja w Chinach pogłoski o jego ustąpieniu. Korespondenci zagraniczni pisa także o tym, że na łamach noworocznego wydania „Zhenminzhuqiao” ukazał się artykuł, który zapowiada drastyczne ograniczenie inwestycji i zahamowanie wzrostu stopy życiowej. Dowiadujemy się z niego, że w ciągu ostatnich dwóch lat a więc już po obaleniu „bandy czworga” stawiano sobie nadal nierealistyczne cele i nie realizowano skutecznie polityki korekty gospodarczej. Przypomnijmy, że do września ub. roku Hua Kuo-feng pełnił również funkcje premiera.

TYDZIEŃ W POLITYCE

siało ustąpić miejsca atmosferze chłodnych i zakłócających incydentami stosunków międzynarodowych. Ta obawa wynika z różnych znaków zapowiedzi. Jakże pojawiły się w końcowej części starego roku w związku z wyznaczonymi wydarzeniami w tym czy innym kraju, czy wręcz ze zmianami rządzących ekip, jak np. w Stanach Zjednoczonych. Równocześnie pełniejsza jest teraz niż kiedykolwiek świadomość, że dla pokojowego współżycia i rozwoju odprężenia nie ma żadnej rozsądnej alternatywy.

i umocnieniem współpracy, natomiast występuje zdecydowanie przeciwko wyścigowi zbrojeń, powikłaniom i konfliktom, powodowanym przez imperialistyczną politykę

W orędziu sekretarza generalnego ONZ — K. Waldheima zwraca uwagę stwierdzenie, że nie należy zniechęcać się tym, iż nie udało się zakończyć wyścigu zbrojeń i osiągnąć konkretnych postępów w stworzeniu nowego, światowego systemu gospodarczego. Trudne problemy można rozwiązywać tylko przy cierpliwości i niezłomnej woli po-

Günter Kunert, pisarz z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, napisał przed sześcioma laty opowiadanie „Potop”...

Znakomity reporter, Wojciech Giełżyński, udziela wywiadu „Odgłosom” („Kto tu wpuszcili dziennikarzy?” — „Odgłosy” z 30.XI br.):

stałe i sezonowe wybudowane lub nabyte nielegalnie, zostały przekształcone w ośrodki lecznicze, wypoczynkowe, kulturalno-oświatowe itp.

NOTATKI Z LEKTURY

„Zapanują głód, epidemie, skrajna nędza i panika. Nad wystającymi ponad fale resztkami dachów zaczęły kraść śmigłowce i rozrzucać ulotki o treści zapewniającej, iż czyni się wszystko, by odwrócić niebezpieczeństwo...”

bytu w stoczni poczuł pan solidarność ze strajkującymi? — Już w pierwszym dniu. Tak samo solidaryzowałem się z tym, co na Kubie zrobił Fidel Castro, z tym, co zrobili Irańczycy przeciwko szachowi i z tym, co stało się w Nikaragui. I to jest mój główny kanon ideowo-polityczny.

w tej sprawie. Podstawowa Organizacja Partyjna przy Szkole Podstawowej w Miszorzach zawiadamia, że gorąco popiera apel redakcji. Mieszkańcy wsi Famulki Królewskie również uważają apel za słuszny, gdyż „wymaga tego zarówno sprawiedliwość społeczna jak i potrzeby społeczne dotychczas w tych dziedzinach zaniedbane”.

Wkrótce przyplwł zmyje z drapaczy chmur ostatnich żyjących; nigdy nie dowiedzą się, że padli ofiarą potopu. Utrzymanie bowiem tego w tajemnicy przed ogółem będzie uważane za ważniejsze aniżeli informowanie o wzmagającym się deszczu, o zaciągających niebo chmurach zbliżającej się katastrofy.

Znakomity reporter chciał powiedzieć i powiedział, że zawsze ma rację. Ze zawsze wie, czyja sprawa jest słuszna i od razu — „już w pierwszym dniu” — się solidaryzuje. To bardzo, bardzo cenny kanon ideowo-polityczny, godzien podziwu i zazdrości.

Gdyby chodziło o ogólnonarodowy plebiscyt, sam też bym machnął taki list z poparciem apelu. Z bloku, w którym mieszkam, może wpłynąć do redakcji „Literatury” około trzydziestu poparć. Ciekawi mnie natomiast taki drobiazg: czy szkoła podstawowa w Miszorzach nie upatrzyła już sobie domu do wzięcia? Czy mieszkańcy wsi Famulki Królewskie nie uznali za celowe wysłać list do Warszawy dlatego, bo mają na oku stojącą w tychże Famulkach willę, należąca do kogoś niezbyt lubianego przez famulczan? A może nie przez famulczan, bo oni chyba wszyscy nie czytają „Literatury”, tylko przez jedną

Czytałem te słowa w początku sierpnia i nie wiem, dlaczego zwróciły moją uwagę. A teraz czytając je powtórnie i wydaje mi się, że wiem. I myślę przy okazji, że największą wartością, jaką może dać literatura, jest jej zdolność przybliżania do życia, do osobistego życia czytelnika, ustawiania się jak lustro, jak triangulacyjny punkt odniesienia.

Zresztą — każdy chyba uważa się za posiadacza takiego niewzruszonego kanonu, każdy jest z niego (i z siebie) zadowolony, tyle że nie każdy głośno o tym mówi.

Tygodnik „Literatura” ogłosił apel, aby wszystkie pozarolnicze posiadłości, wille, domy

konkretną osobę, która potrudziła się nawet zmobilizowaniem opinii miejscowej i zebraniem kilkudziesięciu podpisów pod listem?

W każdym razie jakże budującym jest fakt, że stołeczna prasa literacka czytana jest wnikliwie w najodleglejszych okolicach kraju, w jego najmniejszych siólach i wioskach! A tyle czyta, o regresie kulturalnym, o hermetyczności czasopism literackich...

Na ulicach wielkich miast w NRD mijają się często skrzyżniki z napisem: „BZ am Abend”. Jest to tytuł popularnego dziennika popołudniowego, rozprawy danego właśnie metodą „skrzynek uczciwości”.

Jak pisał w sierpniu tygodnik „Eulenspiegel”, gazety są brane ze stoisk chętnie, natomiast aż w 80% nie jest zostawiana należność. Straty z tego tytułu idą w setki tysięcy marek.

W Łodzi takie zjawisko nie jest możliwe. My byśmy chętnie płacili nawet potrójną cenę, żeby tak sobie przechodzić mimo kiosku, w marszu, zaopatrzyć się w gazetę, obojętnie jaką. Gdyby nie zamknięcie granicy na Odrze i Nysie, może byśmy nawet jeździł do sąsiadów po prasę bieżącą...

CWIEK

TELEWIZJA

Początek roku to zwyczajowa okazja do rozmaitych podsumowań, ocen i opinii na temat tego co było. Takie rozpamiętywanie pełni funkcję istotnego doświadczenia, z którego powinna wypływać nauka na przyszłość: jak ustrzec się poprzednie popełnionych błędów, co zmienić a co zachować. Dla porządku, a nie z samouwieblenia, posłużyć się tekstami, które w ciągu roku 1980 w „Odgłosach” publikowałem. W numerze 2, ze stycznia, na marginesie „Horyzontu”, audycji Redakcji Publicystyki Międzynarodowego Dziennika TV, pisałem: „W telewizji nie wystarczy umieć mówić, ale i także umieć słuchać, aby wnieść coś nowego inni”. Jak ważna to była sprawa, miały pokazać ostatnie miesiące roku, które właśnie był mój Umiejscowienie wstuchiwania się w głosy społeczne winna być podstawowa cecha telewizyjnego reportaży i publicystyki. Ze coś w tym zakresie zmieniło się na lepsze potwierdzają, wprowadzone do programu TVP jesienią, trzy audycje cykliczne — „Listy o gospodarce”, „Daleko i blisko” oraz „CDN”. Autorzy „Listów” (Andrzej Bobek, Jerzy Redlich, Andrzej Zaporowski) w planach na rok 1981 mają „Trybunał Obywatelski”, a także program również w oparciu o listy telewizyjną, na temat etyki i moralności. Biorąc pod uwagę to, co zrobili dotychczas, można się spodziewać, że i najnowsze zamierzenia wprowadzane do TVP to — o czystym brzmieniu. Cykl reporterów „Daleko i blisko”, w krótkim czasie doczekał się małego przeglądu swoich osiągnięć (3 i 4 stycznia): szkoda tylko, iż to podsumowanie z udziałem bohaterów poszczególnych reportaży emitowane w programie II, w czasie gdy w jedynce „szedł” horror i western. Z takimi praktykami w „minionym okresie” mieliśmy do czynienia nader często. Pomysł z ostatniej soboty i niedzieli o tyle jest jeszcze niezrozumiały, że reportaże to dają przecież jakiś rzeczywisty obraz aktualnych problemów, a poza tym są bezsprzecznie wartościowe w sensie artystyczno-warsztatowym TVP. O co wiesz tu chodzi? Może o to, iż filmy prezentowane przez Jacka Sznajkiwicza i Stefana Kozickiego róż-

nią się tak bardzo od wzorów, które TVP od lat lansowała? W 3 numerze „Odgłosów” pisałem: „Publikatory, w tym także telewizja, pod presją społeczną zapotrzebowania na sukces, nierzadko taki sukces konstruują nie oglądając się na rzeczywisty jego wymiar, bo ładnie punktują jakas z górą założoną tezę. Dążenie do sukcesu za wszelką cenę jest nie tylko wynaturzeniem osobowości dążącej, ale i zjawiskiem z zakresu patologii społecznej określonej grupy, która z niskich pobudek w ów domniemany sukces inwestuje”. W 6 numerze zanotowałem: „Gdyby osadzić polskie życie kulturalne na podstawie programów telewizyjnych można byłoby dojść do takiego wniosku

STARE I NOWE

ks, że dzieje się u nas w tym zakresie niewiele”. I dziś z perspektywy stycznia 1981 roku należałoby te słowa powtórzyć. Pomijam tu dwa magazyny „Camerata” i „Proscenium”, które w ramach swoich specjalności muzyki i teatru są warte oglądania. W dalszym ciągu — jak to obrazowo się mówi — po macoszu traktowana jest literatura. Powrót Aleksandra Małachowskiego i jego „Spotkań z pisarzami” miał jakiś incydentalny, i nie do końca jasny charakter. A swoją drogą miał redaktor Małachowski nosa, rozpoczynając swój powrotny debiut w TVP od rozmowy z Janem Józefem Szczepańskim, obecnym prezesem ZLP. W numerze 13, jakoś wkrótce po audycji „Pytania i odpowiedzi” z Janem Pawłem Gawlikiem, który w sposób mało przekonujący tłumaczył się z dyktowania w Teatrze TVP, napisałem „Jak długo dla poniedziałkowych inscenizacji punktem wyróżnia będzie teatr z całą swoją garderobiano-zastawkową konwencją tak długo nie będzie istniało oryginalne i specyficzne widowisko telewizyjne”. Powtórzyłem te myśli w numerze 21: „W dalszym ciągu niezbędna

jest jasna odpowiedź czy ma to być teatr w telewizji czy teatr telewizyjny”. W gruncie rzeczy Jan Paweł Gawlił problemu tego nie rozwiązał. Wciąż w TVP obowiązują koturn, draperia, podest i kulisa. W ubiegłym tygodniu nie wspominałem ani pół słowem o „Kordianie”. Te inscenizacje Gustawa Holoubka zapowiadała sama Maria Janion i — przynajmniej — chętno wierzyły pani profesor. Będzie to wydarzenie. Ten Kordian na trzy czwarte, albo na jedną drugą (myślę tu o skróceniu tekstu Słowackiego) w wykonaniu Marka Kondrata natchnął chyba publiczność „Polityki” do sformułowania następującej typologii: „Twórców prosperujących w Teatrze Telewizji z grubszą da się podzielić na dwie kategorie — filmowców oraz profesorów dykcji i recytacji” („Kordian” był oczywiście dziełem „profesora dykcji i recytacji”). Tekst „Polityki” zaczyna się od zdania: „Poniedziałkowy Teatr TV podpadł”. Czy stał on meo no kiedwiciolwiek nawet w mitycznych czasach Hanuszkiewicza i Antczaka? Nie sądzę. Dwa albo, zrzęty wyjątki, nie są w stanie tej oceny zmienić. Teatr ten musi tworzyć ludzi dla których telewizja nie jest reproduktorką wartości artystycznych ale możliwością i środkiem tworzenia tych wartości w sposób oryginalny i autonomiczny.

Belleton z numeru 38 zsytylowałem „Idzie nowe” ze znakami, zapytania. Dziś mogę powiedzieć że owszem — idzie, ale jakoś nieprawo, czasem przystaje, a niekiedy jakby się cofało. Może z nowym rokiem i w TVP wejdzie w życie „mała reforma”, to znaczy (jak powiedział doc. Józefiak) uchwała niwelująca oczywiście absurd i przyspieszy bieg nowemu?

GRZEGORZ GAZDA

P.S. W ubiegłym tygodniu napisałem „Redakcja Tomasza Hopfera”. Okazuje się, że nie. Zdanie winno brzmieć „Redakcja Ryszarda Dyi”. Oto jeszcze jedna postać „nowego” w TVP.

ZAMIAST RECENZJI

W trakcie szalonej owacji, jaką zgotowała publiczność orkiestrze i dyrygentowi po wykonaniu uwertury „Sroka-Złodziej” Ciotka nachyliła się do mego ucha. — Kim on jest, że biją tak mocno? — spytała. — To słynny dyrygent Garry Pietra — odparłem — zaraz będzie prowadził symfonię fantastyczną. Wtajemniczeni twierdzą, że pierwszy raz w życiu. — A pan czemu nie klaszcze?! — krzyknęła niespodziewanie do inżyniera Bełta doktorowa Dużogorsza, kręcąc nad głową młynka purpurowym boa. — Mam zwolnienie — szepnęła błądź ze zdenerwowania, wyciągając z kieszeni druczek L-4 — i mogę okazać je na żądanie. Ciotka spojrziała przez pince-nez na wymiętoszoną kartkę. — Statystyczny numer choroby: 1980 — odczytała. — Upojenie — wtrąciła doktorowa. — Tu jest zaznaczone, że powinien pan leżeć — dodała Ciotka. — Jestem chory na własną prośbę — odparł inżynier Bełt więc przysługują mi pewne prawa. Brawa właśnie umilkły, lecz w orkiestrze nadal panował taki tumult, że dyrygent uderzał jedynie batutą w pulpit, nie mogąc rozpocząć Symfonii. — Obawiam się — rzekła Ciotka, zwracając

się do Bełta — że niezbyt się pan tutaj rozewnie. — Nie przyszedłem się tutaj bawić, lecz oszłodzić — popukał się w czoło pokryte gestami mądrości — nie mogę przestać myśleć. — Czyż wyteżona praca — spytałem — nie sprawia panu w tej mierze dostatecznej satysfakcji?

się moja Narzeczona. — Gdzie tak długo byłaś? — spytałem. — Ach — odparła cała zdyszana i rozogniona — szkoda gadać. Stańmy przed odpowiedzialnym zadaniem i ani rusz nie mogłam go obejść. — Próbowaliśmy przeskoczyć? — zainteresowała się doktorowa.

ZDROWY Z UROJENIA

— W stanie upojenia nie wolno przebywać na stanowisku — oburzyła się doktorowa Dużogorsza — zagraża to bezpieczeństwu otoczenia. Przedłużająca się przerwa zaczęła nas coraz bardziej niepokoić. Garry Pietra stał na podium i mimo że orkiestra zachowywała się już zupełnie spokojnie, w dalszym ciągu miarowo słukał batutą w pulpit. — Dlaczego nie zaczyna? — szepnęła z lękiem w głosie doktorowa. — Może nie umie wziąć dobrego przedaktu — odparła Ciotka. — Zdaje mi się, że nie ma partytury — stwierdził z przerażeniem inżynier Bełt. — Takiej klasy dyrygent — powiedziałem — na pewno prowadzi z pamięci. — Może nie ma czego pamiętać — rzekła Ciotka. Tymczasem na salę niepostrzeżenie wsunęła

— Próbowaliśmy, ale był taki tłok, że mowy nie było. Po prostu korek, a milicjanci ani na lekarstwo. — W końcu jednak wydołała się — zauważyłem. — Ale za jaką cenę! — wyciągnęła z torebki chusteczkę obficie skropioną odurzającymi perfumami i przetarła nią spoczone czoło. — Nie dosyć, że musiałam pogłębić więź, to jeszcze zmuszono mnie do opowiedzenia się za ścisłą współpracą. — Ale dzięki temu — odezwał się inżynier Bełt, jakby nieco zdrowszym głosem — może pani mieć Pietra nieomal w zasięgu ręki. — Nie wiem tylko czy mi to zrekomensuje czas stracony na przebijanie się do przodu — odparła moja Narzeczona. Inżynier Bełt posiniał lekko na twarzy. — Oto dzisiejsze pokolenie — zawołał —

zamiast upoić się szczytnymi frazesami czy odpowiedzianymi sloganami wszystkim przeliza na pieniądze! — Nie słuchaj go moje dziecko — szepnęła Ciotka — intensywna praca umysłowa kompletnie go wyniszczyła. — Po czym niespodziewanie zagadnęła Bełta: — Do kiedy pan ma zwolnienie? — Do kiedy zechcę — zerwał się z miejsca inżynier — pani jeszcze nie wie do kiedy zechcę! — Uciszcie się — syknęła doktorowa — czy nie widzicie co się dzieje? Publiczność zafascynowana osobowością dyrygenta wpatrywała się w jego nateżone plecy, a instrumentalniścici pograżeni w bezruchu siedzieli jedynie zahipnotyzowanym wzrokiem ruch jego batuty, która miarowo stukała w pulpit. — Zawsze odnosiłam wrażenie — powiedziała Ciotka, wyjmując korki z uszu — że ten „Epizod z życia artysty” jest o wiele za długi, ale żeby jeszcze tak zwlekać z rozpoczęciem... — Przecież to czarodziej batuty — jęknęła omdlewająca doktorowa Dużogorsza — tyle się o tym człowiek naczytała, ale żeby tak, na własne oczy... — Właściwie czuję się już zupełnie dobrze — powiedział z nieukrywaną radością inżynier Bełt — chyba udam się na stanowisko, póki jeszcze nikt się nie rusza. I puścił się biegiem przez środek sali.

JACEK KRAKOWSKI